

MYŚLIWIEC

WARMIŃSKO



MAZURSKI

MYŁKUS? OTO JEST PYTANIE!

4-5

DANIELE, DZIKI I DRAPIEŻNIKI

6-7

ZIEMIAŃSKIE ŚWIĘTA

14-15

140 LAT MUZEUM PRZYRODNICZEGO IM. DZIEDUSZYCKICH WE LWOWIE

24-26

POWOJENNE POCZĄTKI ŁOWIECTWA NA WARMII I MAZURACH

24-26





Wesołych Świąt

*W czasie, gdy tegoroczne święta Bożego Narodzenia
będą upływały w tle pandemii,
życzymy Koleżankom i Kolegom myśliwym
aby przebiegły one jak najszczęśliwiej, w zdrowiu,
spokoju i w zaciszu domowym.*

*Odpocznijmy od codziennych problemów, zgiełku ulic
czy pracy on line. Potrzebna jest nam chwila wytchnienia,
a tę zapewni rodzina oraz kontakt z lasem.*

*Niech brać myśliwska zasiądzie w łowisku przy leśnym stole
w czasie wigilijno-covidowym, a leśne świerki niech zamigocą
jak lampki śniegu kryształami.*

*Podzielmy się opłatkiem i życzeniami.
Niech nas więcej łączy niż dzieli.*

*Natomiast w nadchodzącym Nowym Roku życzymy zdrowia,
sukcesów w łowiectwie oraz realizacji planów życiowych.*

**ZOPZŁ w Białymstoku, Elblągu, Łomży, Olsztynie, Suwałkach
oraz redakcja „Myśliwca Warmińsko-Mazurskiego”**

Stanowisko w sprawie



Oddając do druku kolejny numer „Myśliwca Warmińsko-Mazurskiego” zastanawiałem się, czy we słowie wstępnym do obecnego numeru warto zajmować stanowisko w sprawie, o czym czytam w publikacjach na temat leśników, myśliwych czy rolników. Zastanawiam się, do czego prowadzą te „naukowe” teksty poparte nieraz tytułami naukowymi. Widocznie to taka nauka jacy i jej autorzy.

Społeczeństwo poddawane jest celowej pseudoedukacji i manipulacji przez grupy nawiedzonych osób mieniących się „ekologami”, „przyrodnikami”, a wszystko to w imię własnych interesów, sposobu na życie i zarabianie pieniędzy kosztem grosza publicznego, unijnego i prywatnego. Sami zaś nie trudzą się zarabianiem godziwą pracą. Znajdują poklask wśród wielu celebrytów, nieżyczliwych nam mediów, bowiem łatwiej jest atakować aniżeli coś godziwego wnieść do gospodarki, rozwiązywać trudne problemy. Tyle osób dorosłych, dzieci i rodzin potrzebuje pomocy oraz wsparcia i na tym należałoby może skupić swoją aktywność, szczególnie w dobie pandemii. I myśliwi robią to, o czym świadczą przykłady z całej Polski. Jakoś pochwał w tym kierunku nie słychać. Leśnicy, myśliwi i rolnicy potrafią rozwiązać swoje problemy sami, jeśli się im nie przeszkadza. Wiemy przecież do czego wymuszona „pomoc” tych środowisk doprowadziła Puszczę Białowieską. Świat zna nie tak odległą przecież niszczyielską działalność „kulturalną” humbeiwiniów w Chinach czy Talibów w Afganistanie niszczących pamiątki kultury światowej oraz podobne rozprawianie się terrorystów muzułmańskich z zabytkami świata chrześcijańskiego w Syrii. To także przykład absurdu w tym przypadku o rzekomą ochronę przyrody ale nie o człowieka, walki z łowiectwem, które wniosło do polskiej kultury niezbywalne wartości.

Mało w tym wiedzy, dużo hipokryzji i ostatnio tak modne bazowanie na emocjach. Jak powiedział ktoś mądry „Nie ma w tym wiedzy, są poglądy”. I tak nie uczymy myślenia na różnych szczeblach edukacji, a produkujemy absolwentów. Zadaję jeszcze inne pytanie, dlaczego nie ma interwencji w stosunku do przemocy w filmach grozy, grach komputerowych czy w bajkach traktujących o zabijaniu, co w przypadku myśliwych jest rzeczą niemoralną. Humanizujemy zwierzęta, ba nawet drzewa, tworzymy przywileje dla warzyw. Mniejszość zaczyna rządzić większością, tworząc nowy model człowieka. A przypominam, że był taki kraj, który wypromował takiego człowieka i co z tego wynikło? Kraju tego już nie ma, a ideały rozmyły się.

Proponuję abyśmy w zmaganiach o przyszłość naszego łowiectwa nie ustawiali, postarali się mądrze je zreformować oraz nasze Zrzeszenie *pro publico bono*, a nie *pro domo sua*.

Zbigniew Korejwo
redaktor naczelny

MYŚLIWIEC
WARMIŃSKO  MAZURSKI

Kwartalnik
Zarządu Okręgowego PZŁ w Olsztynie
ul. Leśna 8, 10-173 Olsztyn
tel. 89 535 15 56
fax 89 527 97 52

Druk kwartalnika dofinansowany przez
Wojewódzki Fundusz Ochrony Środowiska
i Gospodarki Wodnej w Olsztynie
Redakcja:



Zbigniew Korejwo - redaktor naczelny
Mariusz Jakubowski - sekretarz redakcji
Zygmunt Zalewski - redaktor

Materiały przygotowano we współpracy
z ZO PZŁ w Białymstoku, Elblągu,
Łomży, Suwałkach.

Korespondenci terenowi:
Norbert Bejnarowicz – Węgorzewo
Andrzej Czapliński – Dzierżgoń
Alicja Milewska – Białystok
Izabela Motylińska – Łomża

Przygotowanie i druk:
AFW Mazury
10-684 Olsztyn, ul. Wańkowicza 2A
tel./fax 89 542 75 20, www.afwmazury.pl

Zdjęcie na okładce:
Zimowy lis
Foto: Andrzej Stachurski

Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów, poprawek, uzupełnień i opracowań redakcyjnych tekstów w przypadku wykorzystania w druku nadesłanego materiału. Opinie wyrażane przez autorów na łamach „Myśliwca Warmińsko-Mazurskiego” nie zawsze są zgodne z poglądami redakcji. Redakcja nie odpowiada również za treść zamieszczonych reklam, ogłoszeń, listów, materiałów sponsorowanych oraz zastrzega możliwość nieodpłatnego wykorzystywania nadesłanych materiałów i zdjęć. Ponadto, przedruk z „Myśliwca Warmińsko-Mazurskiego” dozwolone są za uprzednią zgodą redakcji. Za naruszenie praw autorskich odpowiadają autorzy artykułów. Materiałów niezamówionych nie zwracamy.

Materiały do Myśliwca Warmińsko-Mazurskiego prosimy nadsyłać na adres Wydawcy.

Nakład 6200 egz.



Mariusz
Jakubowski

Poroże myłkusa zawsze stanowiło przedmiot marzeń myśliwego. Jest rzadkie o niepowtarzalnym kształcie, a przez to wyjątkowe i stanowi ozdobę każdej myśliwskiej kolekcji. Dodatkowo odstrzał myłkusa zawsze jest odstrzałem prawidłowym i uzasadnia rolę myśliwego jako selektonera, usuwającego z populacji osobniki chore lub wyraźnie słabsze od innych.

W związku z tym, że określenie „myłkus” w potocznym zastosowaniu wydaje się dość pojemne zaczęłam od definicji tego słowa.

Stanisław Hoppe w „Słowniku Języka Łowieckiego” przytoczył definicję: Myłkus – samiec zwierzyny płowej, zwłaszcza jelenia byka i kozła sarny, o porożu wyraźnie zniekształconym w wyniku choroby, uszkodzenia ciała (najczęściej jąder) itp.; formy poroża: korkociąg, rogi baranie, peruka i in.

Bardzo podobną definicję podał Marek P. Krzemień w publikacji pt. „1000 słów o łowiectwie”: Myłkus – samiec zwierzyny płowej o porożu wyraźnie zniekształconym na skutek choroby. Poroże m. przyjmuje rozmaite formy: korkociągów, baranich rogów itp.

Niekwestionowany, wieloletni autorytet z zakresu budowy poroża jeleniowatych, prof. Zbigniew Jaczewski w swojej książce „Poroże jeleniowatych” nie używał określenia myłkus, lecz na przedstawienie patologicznych form poroża poświęcił kilka stron opisując: poroże korkociągowe, poroże gumowe, poroże kształtu woskowych świec, poroże pęcherzowe i poroże wahadłowe. Co bardzo ciekawe, w odniesieniu do niektórych z nich wyraźnie zaznaczył, że są one spowodowane czasowym zachwianiem równowagi zdrowotnej organizmu, nie mają podłoża genetycznego i w następnym roku samiec może nakładać prawidłowo ukształtowane poroże „...Opisywano sarny, chowane w zagrodach, które w jednym roku nakładały poroża korkociągowe a w następnym silne normalne parostki (Rieck 1970). Wady tej nie należy zwalczać przez odstrzał ponieważ nie jest ona uwarunkowana genetycznie (...).”¹

Skoro powinniśmy zachować wstrzeźliwość w odstrzale osobników o zdeformowanych porożach to jakich kryteriów selekcji powinno się używać wobec osobników posiadających poroże ukształtowane prawidłowo? Czy przebywający

w łowisku myśliwy ma szansę rozpoznać, czy zniekształcenie poroża ma charakter czasowy, spowodowany chorobą, czy zniekształcenie jest stałe i ma uwarunkowanie genetyczne?

Oczywiście pytanie jest czysto retoryczne gdyż w czasie polowania takiej możliwości po prostu nie ma. Myślę, że tego typu wątpliwości, w połączeniu z koniecznością wykonania corocznego planu odstrzału, zaowocowały zasadą, że osobniki o wyraźnie zniekształconym porożu – bez rozstrzygania czy w wyniku choroby czy uwarunkowań genetycznych – zawsze są kwalifikowane do odstrzału w pierwszej kolejności. Myślę, że takie założenie jest słuszne.

Od czasu do czasu kontaktuję się ze mną koledzy z prośbą o wyrażenie opinii czy odstrzelony lub sfotografowany przez nich byk jest myłkusem. Myłkusem, czyli osobnikiem o wyraźnie zniekształconym porożu. Tak postawiony problem wymaga określenia jak wygląda prawidłowo zbudowane poroże. Prof. Jaczewski w swojej publikacji stwierdził, że poroże jelenia europejskiego charakteryzuje się znaczną liczbą odgałęzień (niekiedy ponad 20) oraz tym, że w górnej części nie dzieli się dichotomicznie, lecz wytwarza koronę. Zaznaczył również, że głównym odgałęzieniem w porożu jelenia europejskiego jest najczęściej tzw. opierak (trzeci od dołu). Podkreślił również, że poroże jelenia europejskiego odznacza się dużą zmiennością kształtów (!) (przyp. autora).

W cytowanych w publikacji obserwacjach, dotyczących dziedziczenia cech poroża jeleni szlachetnych, można odnaleźć stwierdzenie, że odnogi w porożu można podzielić na główne tj. takie których odejście powoduje zmianę kierunku wzrostu tyki (czyli oczniak i opierak oraz odgałęzienia dodatkowe, nie wywołujące powyższej zmiany (nadoczniak).

Podsumowując wskazane obserwacje, możemy założyć, że prawidłowo zbudowana tyka byka jelenia szlachetnego, w pełni rozwoju osobniczego, zawiera: oczniak, nadoczniak, opierak i koronę. Brak nadoczniaka nie stanowi wady poroża.

W „Łowieckim Podręczniku Selekcjonera” prof. Roman Dziedzic wspomina również o tzw. opieraku podwójnym, kiedy obie odnogi wyrastają w bliskiej odległości od siebie (fot. 1). Prof. Ryszard Dzieciolowski, autor rozdziału poświęconego jeleniowi szlachetnemu, w podręczniku „Łowiectwo” zazna-



czył dodatkowo, że kształt korony może być bardzo różnicowany, wymieniając formy określane jako korona kielichowa, schodkowa, dwuwidlicowa, palczasta i inna. Opisując wzajemne ustawienie tyk stwierdził, że mogą one przybierać kształt elipsy, litery U lub V. Stwierdził również, że odnogi wyrastają z tyki ku przodowi i w górę, a niekiedy między opierakiem a koroną wyrasta dodatkowa odnoga. W podręcznikach wyceny medalowej trofeów, zarówno Ignacego Stachowiaka, jak i dr hab. Dariusza Zalewskiego skierowana ku przodowi odnoga zwana jest odnogą podkoron-





na lub wilczą. Z kolei prof. Dziedzic sugeruje aby odnogę występującą między opierakiem i koroną oraz skierowaną ku przodowi nazywać podkoronną, a skierowaną ku tyłowi zwierzęcia określać jako wilczą (fot. 2 i 10).

Dysponując dość obszernym, lecz dzięki temu dokładnym opisem prawidłowo zbudowanego poroża spróbujemy przeanalizować kilka poroży pod względem prawidłowości ich budowy. Sądzę, że nikt nie będzie miał wątpliwości, iż poroża zaprezentowane na fotografiach 3-6 są porożami myłkusów. Porozę w kształcie nieregularnych brył masy kostnej, wykształcone dodatkowe tyki oraz brak głównych odnóg tyki to cechy zupełnie nie przystające do opisu prawidłowo rozwiniętego



wieńca. Znaczące zniekształcenie kształtu tyki oraz kierunku w którym ona wyrasta, zwłaszcza w odniesieniu do drugiej, prawidłowo wykształconej tyki wieńca, również nie powinno budzić wątpliwości (fot. 7-8). Dla kontrastu, przedstawiony na fotografii 9 wieńiec z całą pewnością myłkusem nie jest, gdyż rozwidlony opierak – czy występujący na jednej tyce czy na obu – nie wykracza poza opis prawidłowo ukształtowanego wieńca. Więcej – w „Łowieckim Podręczniku selekcjonera”, w rozdziale, którego autorami są prof. Henryk Okarma i dr inż. Marek Wajdzik znajdziemy stwierdzenie, że opierak może kończyć się nawet koroną.

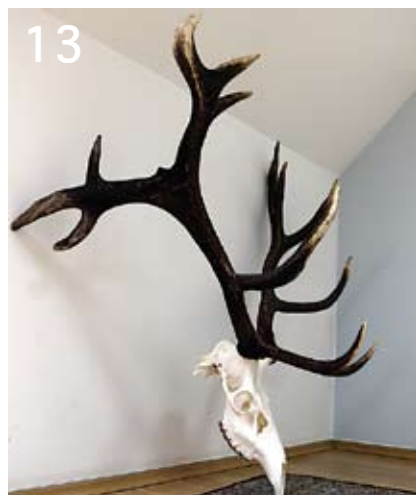
W dalszej części mojego arty-

kułu chcę przedstawić formę tyki, która w ostatnich sezonach pojawia się coraz częściej i budzi coraz więcej emocji. Pamiętam gorącą dyskusję na temat oceny prawidłowości odstrzału jaka odbyła się kilka lat temu.

Byk jelenia szlachetnego, o masie poroża ok. 8-9 kg, o ile dobrze pamiętam, w 7 roku życia, pod jedną koroną miał dodatkową, skierowaną ku tyłowi „wilczą” odnogę. Część Komisji Oceny Prawidłowości Odstrzału skłaniała się ku pogładowi, że dodatkowa odnoga wyczerpuje definicję myłkusa i odstrzał jest prawidłowy, z kolei inni członkowie Komisji wskazywali potęgę wieńca, obecność wszystkich głównych odnóg, symetrię w ustawieniu tyk i najzupełniej normalnie zbudowane korony z jednoznaczną konkluzją, że jest to byk przyszłościowy i nie powinien zostać odstrzelony.

Takie formy ukształtowania jednej tyki wieńca zaczęły z roku na rok pojawiać się częściej. W większości przypadków była to pojedyncza lub rozwidlona odnoga, nie zakłócająca kształtu przebiegu tyki i nie mająca wpływu na wielkość korony (fot. 10 i 11). Coraz częściej jednak pojawiają się odnogi powodujące znaczącą asymetrię obu koron.

Odnogi te kończą się widlicą (fot. 12) lub nawet trzema odgałęzieniami



(fot. 13), spotkałem również przypadki, że główna odnoga miała kilka „narostków” (fot. 14). Co jest bardzo znamienne, omawiane odnogi w zdecydowanej większości przypadków

pojawiają się u silnych osobników nakładających ponadprzeciętne poroża, które po przeprowadzeniu wyceny medalowej zwykle są premiovane medalami.

W tym momencie należy zadać sobie pytanie: czy wieniec, którego tyki nie są w pełni symetryczne, a na jednej z nich występuje dodatkowa odnoga (odnogi) podkoronne – lecz nie łamie reguł opisujących bardzo zmienne w swej formie i będące ostatecznie tylko wytworem natury poroże jelenia europejskiego – jest porożem zdeformowanym czyli porożem myłkusa?

Dodatkową wskazówką dla niezdeterminowanych niech będzie reguła wyceny medalowej CIC, która z jednej strony wyklucza z wyceny myłkusy, ale jednocześnie przewiduje, że wieniec jelenia szlachetnego może mieć asymetryczne lub kroczące tyki i nie nalicza potraczeń za niesymetryczne korony. Wszystkie wieńce z fotografii 10-14 mogą być wycenione wg formuły medalowej CIC. Moim zdaniem, wieńce te, pomimo niewątpliwiej oryginalności i rzadkiej formy, nie są porożami myłkusów.

Oddzielną kwestią, wartą przemyślenia i dyskusji, jest to czy chcemy mieć w łowisku byki z podwójnymi opierakami, wilczymi i podkoronnymi odnogami oraz koronami świadczącymi o potężnym potencjale organizmu ale nie pasującymi do



naszych wyobrażeń o szlachetnej formie wieńca jelenia europejskiego? Czy my – ludzie, myśliwi – starający się lepiej lub gorzej naśladować lub uzupełniać naturę mamy prawo o tym decydować? Jeżeli tak, to należy wyraźnie odnotować to w kryteriach selekcji, gdzie poza myłkusami funkcjonowały by byki o wieńcach z dodatkowymi odnogami, zachwianymi proporcjami długości oczników i opieraków lub nieforemnymi koronami. Bo myłkusami one nie są.

Jeżeli argumenty przedstawione w niniejszym artykule będą dla Koleżanek i Kolegów inspiracją do przemyśleń, będzie to dla mnie znak, że warto było go napisać. Wszystkich zainspirowanych niniejszym tekstem zachęcam do dyskusji na łamach „Myśliwca Warmińsko-Mazurskiego”.



**Mariusz
Jakubowski**

Daniele, dziki i drapieżniki

Tradycyjnie, w grudniowym numerze „Myśliwca Warmińsko-Mazurskiego” przedstawiam wyniki rankingu najlepszych łopat danieli, oręży dzików oraz czaszek drapieżników, zdobytych w ubiegłym sezonie na terenie olsztyńskiego okręgu PZŁ.

Analizując hodowlane wskaźniki dotyczące odstrzału danieli byków należy stwierdzić, że w ubiegłym sezonie pozyskano 141 osobników, w tym 120 selekcyjnych i 21 łownych.

Według arkuszy oceny prawidłowości odstrzału, wszystkie zostały ocenione jako prawidłowe. To bardzo dobry wynik, choć zapewne w niektórych przypadkach pomogła zasada dopuszczająca pomyłkę w przyżyciowej ocenie wieku.

Zestawienie wycenionych łopat danieli zawiera tabela nr 1. Wprawdzie jest to kolejny sezon bez złoto-medalowego trofeum, ale z drugiej strony cieszy wzrost liczby medalowych łopat oraz ich jakości (w ubiegłym roku 11 medalowych trofeów, w tym dwa srebrne). Mnie osobiście bardzo cieszy wyraźny progres trofeów z KŁ „Łąbedź” Małdyty, nieobecnego w zeszłorocznym rankingu. Ostatecznie, miejsce zdobycia rekordu Okręgu do czegoś zobowiązuje! Jak zwykle, klasą dla siebie są danielę z Bartoszyce, a pozostałe trofea nie pozwalają zapomnieć o łowiskach Kętrzyna, Korsz i Lidzbarka Warmińskiego.

Tabela nr 1. Zestawienie wycenionych łopat danieli, pozyskanych w sezonie 2019/20 na terenie olsztyńskiego okręgu PZŁ.

Lp.	Koło łowieckie	Myśliwy	Rok życia	Masa brutto trofeum (kg)	Pkt. CIC	Medal
1	Łąbedź Małdyty	Wojciech Radziszewski	7	3,27	174,65	srebrny
2	Daniel Bartoszyce	Władysław Tomkiewicz	8	3,50	172,65	srebrny
3	Szarak Bartoszyce	myśliwy zagraniczny	8	3,38	172,06	srebrny
4	Głuszc Olsztyn	myśliwy zagraniczny		2,88	171,46	srebrny
5	Szarak Kętrzyn	Krzysztof Skorski	7	2,65	168,40	brązowy
6	Słonka Srokowo	Robert Turko	6	3,07	167,19	brązowy
7	Łąbedź Małdyty	Łukasz Kołodzieński	8	3,19	165,17	brązowy
8	Daniel Bartoszyce	myśliwy zagraniczny	7	3,04	164,24	brązowy
9	Łąbedź Małdyty	Mariusz Zega	6	2,78	162,89	brązowy
10	Ryś Morąg	Krzysztof Ogonowski	8	2,55	162,80	brązowy
11	Daniel Bartoszyce	Mirosław Jadeszko	8	2,80	162,76	brązowy
12	Jeleń Lidzbark Warm.	Hubert Znamierowski	8	3,21	162,57	brązowy
13	Bór Wipsowo	Dominik Czekala	8	3,44	162,23	brązowy
14	Dzik Bartoszyce	Andrzej Mikołajczyk	5	3,00	161,04	brązowy
15	Szarak Kętrzyn	Dariusz Cichy	6	3,08	160,37	brązowy
16	Leśnik Lidzbark Warm.	Hubert Znamierowski	8	2,78	160,09	brązowy
17	Wiewiórka Korsze	Krzysztof Opalka	6	2,73	158,93	-
18	Łąbedź Małdyty	Artur Walczak	8	2,66	153,27	-



Pozycja 11 w Tab. nr 1

Nie ukrywam, że przystępując do podsumowania wyników wyceny medalowej oręży dzików miałem duże obawy. Jak będzie wyglądał ranking w obliczu postępującego ASF? Mamy w Okręgu koła, w których pozyskanie dzików ze 100-200 osobników spadło do 5-10. Jak w takiej sytuacji mówić o możliwości wyhodowania orężnych odyńców? Częściowo miałem rację, liczba medalowych oręży kolejny raz się zmniejszyła. Sezon 2018/19 dał 31 medalowych oręży, sezon 2019/20 już tylko 24. Jeżeli przeanalizujemy lokalizację obwodów łowieckich kół wymienionych w tabeli nr 2, na próżno będziemy szukać kół z rejonu Kętrzyna, Mrągowa, Biskupca. A są to rejon, które jeszcze niedawno przodowały w liczbie pozyskanych odyńców. Jednocześnie są to rejon, w których ASF bardzo silnie zaznaczył swoją obecność. Generalnie, ubiegły sezon pozwalał na pozyskanie medalowego odyńca w okolicach oraz na zachód i na południe od Olsztyna. Reguła ta pokrywała się z terenami, na których ASF dopiero się pojawiał, a dodatkowo liczebność lokalnych populacji wspierały osobniki migrujące z terenów zajętych przez ASF.

Szczególnie wyraźnie widać tę regułę w okolicach Olsztyna. Liczba dzików, które spacerowały w ubiegłym roku po ulicach naszego wojewódzkiego miasta zaczęły budzić niepokój mieszkańców i radykalizowały działa-

Tabela nr 2. Zestawienie wycenionych oręży, pozyskanych w sezonie 2019/20 na terenie olsztyńskiego okręgu PZŁ.

Lp.	Koło łowieckie	Myśliwy	Pkt. CIC	Medal
1	Szarak Bartoszyce	Bogumił Ginko	122,10	złoty
2	Wrzos Lidzbark Warm.	Zbigniew Maruszczak	120,10	złoty
3	Kaczor Dobre Miasto	Tomasz Chociej	117,75	srebrny
4	Głuszc Olsztyn	Hubert Pieklik	116,55	srebrny
5	Głuszc Olsztyn	Wiesław Bajor	115,90	srebrny
6	Ohar Warszawa	Robert Kargiel	115,35	srebrny
7	Leśnik Górowo Iławeckie	Patryk Gabiec	115,15	srebrny
8	Zubr Olsztyn	Waldemar Marjan	114,90	brązowy
9	Orzeł Olsztyn	Tomasz Krupiński	114,35	brązowy
10	Wrzos Lidzbark Warm.	Artur Zieliński	113,80	brązowy
11	Zubr Olsztyn	Arkadiusz Skok	113,55	brązowy
12	Daniel Bartoszyce	Mariusz Birbach	113,50	brązowy
13	Kormoran Olsztyn	Kamil Brzeski	112,75	brązowy
14	Jeleń Olsztyn	Kamil Sadowski	112,50	brązowy
15	OHZ ZG PZŁ „Gierłoż”	Tomasz Tomaszewski	112,45	brązowy
16	Kaczor Dobre Miasto	Jarosław Urbanowicz	112,35	brązowy
17	Głuszc Olsztyn	Hubert Głowiński	111,65	brązowy
18	Batalion Omin	Zbigniew Kocięda	111,60	brązowy
19	Wrzos Lidzbark Warm.	Artur Zieliński	111,30	brązowy
20	Słonka Morąg	Marcin Wierciński	111,25	brązowy
21	Słonka Morąg	Marcin Wierciński	111,05	brązowy
22	Dzik Orneta	Karol Brodowski	110,45	brązowy
23	Głuszc Olsztyn	Mariusz Białkowski	110,35	brązowy
24	Kaczor Dobre Miasto	Daniel Rurik	110,05	brązowy

nią włodarzy. W obwodach KŁ „Głuszc” i „Zubr” zdobyto 6 medalowych oręży czyli 25 % wszystkich trofeów z całego Okręgu. A są to obwody zlokalizowane blisko miasta lub z nim graniczące!

Jesień 2020 r. jest czasem docierających informacji o bardzo wysokich stanach dzików w okolicach Iławy i Ostródy, ale w ślad za ilością nie idzie jakość. Za-



Pozycja 1 w Tab. nr 1

kończenie trwającego sezonu, jeżeli chodzi o liczbę medalowych oręży, może być jeszcze skromniejsze.

Lekki regres daje się również zauważyć w liczbie medalowych czaszek drapieżników (tabela nr 3 i 4). Cztery medalowe czaszki borsuków oraz 3 medalowe czaszki lisów – kolejny rok bez złotego medalu – to nie jest wynik, którego można by się spodziewać. Być może jest to jeden z efektów prowadzonych przez wiele kół redukcji lisów. Być może część myśliwych rezygnuje z pracochłonnej preparacji trofeów i dostarczania ich do wyceny medalowej. Być może na sprawność i możliwość dostarczenia trofeów do wyceny miały i mają wpływ ograniczenia wynikające z epidemii COVID-19.

Tabela nr 3. Zestawienie wycenionych czaszek borsuków, pozyskanych w sezonie 2019/20 na terenie olsztyńskiego okręgu PZŁ.

Lp.	Koło łowieckie	Myśliwy	Pkt. CIC	Medal
1	Wrzos Lidzbark Warmiński	Marcin Maruszczak	23,44	złoty
2	Łoś Olsztyn	Mateusz Miciuta	22,76	srebrny
3	Hubertus Olsztyn	Rafał Żerański	22,23	brązowy
4	Wrzos Lidzbark Warmiński	Zbigniew Maruszczak	22,16	brązowy

Tabela nr 4. Zestawienie wycenionych czaszek lisów, pozyskanych w sezonie 2019/20 na terenie olsztyńskiego okręgu PZŁ.

Lp.	Koło łowieckie	Myśliwy	Pkt. CIC	Medal
1	OHZ ZG PZŁ „Gierłoż”	Piotr Roszczyniański	24,91	srebrny
2	Ryś Morąg	Michał Doroszczak	24,60	srebrny
3	Drwęca Ostróda	Jerzy Juśkiewicz	24,38	brązowy

Kończąc podsumowania, mam nadzieję, że na przełomie lat 2020-21 uda się przeprowadzić ocenę prawidłowości rogowości oraz wycenę medalową parostków, w przeciwnym razie może się okazać, że po raz pierwszy od wielu lat w marcowym numerze „Myśliwca Warmińsko-Mazurskiego” nie będzie rankingu medalowych parostków. Czego wyrażnie Koleżankom, Kolegom i sobie NIE życzę !

Pozycja 1 w Tab. nr 2



Pozycja 2 w Tab. nr 2





Marek Werpachowski
tekst i foto

Międzynarodowe Oceny Posokowców i Tropowców w Orzechowie



Uczestnicy oraz zwycięzcy Międzynarodowych Ocen



Zwycięzcy w Międzynarodowej Ocenie Pracy Posokowców.



Zwycięzcy w Międzynarodowej Ocenie Pracy Tropowców

3 października 2020 r., na Orzechowskich Łąkach, po raz kolejny odbyła się XXIII Międzynarodowa Ocena Pracy Posokowców oraz Międzynarodowa Ocena Pracy Tropowców dla Ogarów i Gończych Polskich. Pomimo obostrzeń związanych z COVID-19, frekwencja startujących psów dopisała, niemniej

jednak w mniejszej liczbie niż w latach poprzednich. Łącznie w ocenach wzięło udział 14 psów: siedem w Międzynarodowej Ocenie Pracy Posokowców i tyle samo w Międzynarodowej Ocenie Pracy Tropowców dla Ogarów i Gończych Polskich. Pogoda tego dnia z rana chciała spłatać figła i straszyla niewielką mżawką ale z czasem, jak zwykle, wyszło słońce i zakończenie ocen przebiegło w przyjemnej aurze.

Podczas rozpoczęcia, wszystkich obecnych powitał nadleśniczy Nadleśnictwa Nowe Ramuki kolega Tomasz Dietowiecki. W kolejnej części, sędzia główny kolega Waldemar Paszkiewicz omówił sprawy organizacyjne związane z przeprowadzeniem ocen oraz przedstawił pozostałych kolegów składu sędziowskiego, a byli to: Tadeusz Wójcik, Wojciech Rosiewicz, Piotr Gołaszewski, Witold Tęgowski, Krzysztof Majbrodzki i Jakub Rudziński.

Podsumowania, ogłoszenia wyników i wręczenia dyplomów dokonał sędzia główny Waldemar Paszkiewicz. Nagrody oraz puchary wręczali: nadleśniczy w Nadleśnictwie Nowe Ramuki Tomasz Dietowiecki, z-ca dyrektora RDLP w Olsztynie Sebastian Smoluk, łowczy okręgowy Romuald Amborski oraz przewodniczący ZKWP Oddział w Olsztynie Waldemar Kosmański.

Należy również podziękować sponsorom w/w imprez, mianowicie: Stowarzyszeniu Przyrodniczemu „Puszcza Ramucka”, olsztyńskiemu oddziałowi Związku Kynologicznego w Polsce, Klubowi Gończego Polskiego oraz firmie AMA Animals Food. Po ogłoszeniu wyników głos zabrał Sebastian Smoluk oraz łowczy okręgowy Romuald Amborski, który podziękował wszystkim uczestnikom imprezy i pogratulował zwycięzcom. Wydarzenie zamknął nadleśniczy w Nadleśnictwie Nowe Ramuki Tomasz Dietowiecki.

Wyniki XXIII Międzynarodowej Ocenie Pracy Posokowców oraz Międzynarodowej Ocenie Pracy Tropowców dla Ogarów i Gończych Polskich

Lp.	Nazwa psa z przydomkiem	rasa	właściciel	lok/dyp/ pkt
XXIII MIĘDZYNARODOWA OCENA PRACY POSOKOWCÓW				
1.	NIXON PATHFINDER CHALLENGE	pb	Marta Łochoyńska i Malwina Łochoyńska	1/I/100
2.	SZAFIR Vectis	ph	Paweł Szymański	2/I/100
3.	BARY od Mutra	apg	Wit Muter	3/I/82
4.	AKO Poszukiwacz	apg	Jarosław Mikołajun	4/II/79
5.	BAJKAŁ Echo Kniei	pb	Przemysław Sinko	5/II/79
6.	AGAR od Dolanského mlýna	pb	Anna Siejkowska-Rybarczyk	6/II/76
7.	HOMER Le Bleu Cardinalis	pb	Marek Szałkowski	7/-/20
XXII MIĘDZYNARODOWA OCENA PRACY TROPOWCÓW DLA OGARÓW I GOŃCZYCH POLSKICH				
1.	CHARON Mroczne Bractwo	gp	Szymon Ziółkowski	1/I/100
2.	EGO Ogarusy	op	Paweł Tetych	2/I/90
3.	FENRIR Mroczne Bractwo	gp	Szymon Ziółkowski	3/I/82
4.	DUNIA Leszczynowy Gaj	gp	Katarzyna Koch	4/III/80
5.	ZELDA z Rogu Trzech Książy	gp	Katarzyna Koch & Zuzanna Koch	5/III/66
6.	RYSA Kolonia Bażyńska	gp	Krzysztof Malko	6/-/20
7.	FRIGGA Mroczne Bractwo	gp	Maciej Brzozowski	7/-/9

Pomoc myśliwych Michasiowi

Pomysł na pomocy Michasiowi zrodził się gdy jadąc na polowanie zauważyłem plakat zawieszony na tablicach informacyjnych. Siedząc na ambonie zacząłem szukać informacji o naszym małym „wielkim” bohaterze Michasiu. Okazało się, że chłopczyk ma 12 miesięcy, choruje na SMA i mieszka nieopodal obwodów łowieckich, na których poluję.

Nazajutrz postanowiłem porozmawiać z zarządem mojego Koła Łowieckiego „Odyniec” w Andrzejewie. Opowiedziałem kolegom o sytuacji Michasia i o tym, że na leczenie potrzebne jest 9 mln złotych. Plan wydawał się prosty... ogłosimy licytację polowania komercyjnego na kuropatwy w grupie, gdzie będą zbierane pieniądze na leczenie. Po kilku dniach okazało się, że ze względu na duży hejt wobec licytacji i myśliwych, ogłoszenie musi zostać usunięte, gdyż administratorzy grupy boją się o zablokowanie zbiórki. Nie dając za wygraną, postanowiłem zrobić taką licytację na własnym profilu Facebooku.

Ogłoszenie zyskało duże zainteresowanie. W polowaniu mogło wziąć udział trzech myśliwych z najwyższą ofertą. Cena wywoływacza jednej strzelonej kuropatwy wynosiła 110 zł. Już po kilku dniach osiągnęliśmy cenę 500 zł za sztukę. Ostatniego dnia licytacji zwyciężyły kwoty: 780 zł (Janusz Łanczkowski z Wiżajn), 760 zł (Rafał Kalicki z Pizsa), 750 zł (Karol Żywicki z Gdyni).

Nie sądziłem, że uda nam się osiągnąć taki wynik. Pozostało ustalić datę i zorganizować polowanie. O naszej akcji zrobiło się głośno. Odezwali się do mnie myśliwi, którzy zaoferowali przyjazd z psami wyspecjalizowanymi do polowania na pióro. Są to ludzie, których należy wymienić w tym przedsięwzięciu, ponieważ wielokrotnie przedtem przyjeżdżali do nas w łowisko aby zapoznać się z terenem i jak najlepiej zorganizować polowanie. A byli to: Jacek Adamczyk z Astorią, Nina Szulik z Ritą, Sylwester Tułodziecki z Vladekiem.

Dzięki obecności Sandry Makaruk, która przyjechała do nas z Gdyni, całe wydarzenie zostało profesjonalnie uwiecznione na zdjęciach.

17 października 2020 r. odbyło się wyczekiwane polowanie. Jadąc na miejsce zbiórki miałem obawy, że nie uda się ono ze względu na pogodę. Po dotarciu na miejsce nie było śladu deszczu. Po chwili rozległ się sygnał na zbiórkę. Prezes wraz z łowczym przywitani goście, podkładacze oraz kolegi naszego koła, którzy pomagali nam w organizacji.

Gdy tylko ruszyliśmy w teren po kilku minutach mieliśmy pierwsze stada kuropatw i pierwsze strzały. Będąc głębiej w łowisku, stad kuropatw było coraz więcej.

Dzięki przeprowadzonej zbiórce wśród kolegów z koła i udziału przybyłych na polowanie myśliwych, zebraliśmy 11 520 zł. Zachęcam inne koła oraz kolegów do pomocy Michasiowi Boguckiemu.

Darz Bór!

**Myśliwi z KŁ „Odyniec” w Andrzejewie
Łukasz Grodzki**



Sygnał "Na łowy"



Uczestnicy łowów



Uhonorowanie zwycięzców ▲

Gratulacje i dyplomy ▼



Konkurs „Mieszkańcy lasu”



Konkurs Mieszkańcy Lasu - galeria prac



Mieszkańcy lasu - miejsce I i II

Z inicjatywy pani Natalii Żulewskiej oraz Wojskowego Koła Łowieckiego „Ryś” w Morągu, w dniach 12-26 października 2020 r., w Szkole Podstawowej im. rtm. Witolda Piłckiego w Łącznie odbył się konkurs plastyczny zatytułowany „Mieszkańcy lasu”. Konkurs skierowany był do przedszkolaków w wieku 3-6 lat. Celem przedsięwzięcia była prezentacja możliwości twórczych, rozwijania zdolności plastycznych i kreatywności dzieci, a także ich zaznajomienie z gatunkami zwierząt występujących w lesie oraz uświadomienie roli lasu w życiu człowieka.

Do konkursu przystąpiły trzy oddziały przedszkolne. Techniki wykonanych prac były różnorodne. Komisja wybrała zwycięzców oraz przyznała trzy wyróżnienia:

Miejsce I: Paweł Szymaniak, lat 5 klasa 0b

Miejsce II: Szymon Zacharzewski, lat 3 klasa 0a

Miejsce III: Kacper Ostrowski, lat 6 klasa 0

Wyróżnienia: Dorota Dąbrowska, lat 3 klasa 0a

Maja Rogulska, lat 6 klasa 0

Sylwester Szyszka, lat 3 klasa 0a

Dzięki wsparciu finansowym WKŁ „Ryś” w Morągu, mogliśmy zakupić atrakcyjne nagrody za zwycięskie prace oraz każdej osobie, biorącej udział w konkursie. Uroczyste wręczenie nagród oraz dyplomów odbyło się 26 października 2020r.



Mam nadzieję, że w następnym roku szkolnym będziemy mogli zorganizować podobny konkurs i przyczynimy się do kolejnej promocji łowiectwa w naszej szkole.

Pomyślałam, że może zechcą Państwo na łamach kwartalnika „Myśliwiec Warmińsko-Mazurski” podzielić się z Czytelnikami informacją, dotyczącą naszego konkursu, zorganizowanego z inicjatywy Wojskowego Koła Łowieckiego „Ryś” w Morągu.

Pozdrawiam serdecznie

Natalia Żulewska

nauczycielka wychowania przedszkolnego
w Szkole Podstawowej w Łącznie



Autorzy „Historii Koła Łowieckiego 'Jedność'” w Białymstoku Janusz Darewicz (z lewej) i Grzegorz Dworakowski (z prawej)



W kolejce po autografy autorów kroniki



Alicja Milewicz

Piknik zapisany w historii koła

W połowie września br. myśliwi Koła Łowieckiego „Jedność” w Białymstoku spotkali się na strzelnicy myśliwskiej ZO PZŁ w Białymstoku na kolejnym już, ale o niezwykle charakterze, pikniku strzeleckim. Z jednej strony, jak co roku, nemrodzi mieli okazję do sprawdzenia ustawień broni oraz podszlifowania swoich umiejętności strzeleckich, podczas których najlepszym strzelcem okazał się kolega Piotr Maksimczuk i to on otrzymał pamiątkowy puchar, ufundowany przez prezesa koła.

Z drugiej zaś, tegoroczne spotkanie było doskonałą okazją do zaprezentowania wydanej niedawno *Historii Koła Łowieckiego "Jedność"* w Białymstoku autorstwa Janusza Darewicza i Grzegorza Dworakowskiego, na którą czekaliśmy z wielkim podekscytowaniem. W końcu, prawie 60 lat istnienia koła, to szmat czasu, więc i sporo w naszym łowieckim życiu wydarzyło się godnego uwagi i uwiecznienia na stronach kroniki. No i nie zawiedliśmy się na kolegach, którzy podjęli się mozolnego przedsięwzięcia.

Prof. dr hab. n. med. Janusz Darewicz – od 1959 roku członek PZŁ i wieloletni prezes KŁ „Jedność” w Białymstoku – w niezwykle interesujący sposób opisał historię koła wywodząc ją od prastarych puszc porastających tereny dzisiejszych łowisk, przypominając, że na terenach Puszczy Knyszyńskiej oraz dawnej Puszczy Nowodworskiej, dziś przez nas użytkowanych, odbywały się królewskie polowania, a przez wieki, z dobrodziejstw puszczańskich ostępów korzystało wiele

zaczynających się i osobistości. Autor opisał moment powstania koła oraz liczne fakty związane z prowadzoną gospodarką łowiecką na przestrzeni dziesięcioleci.

Część opisowa kroniki przeplata się z licznymi fotografiami przyrodniczymi autorstwa Grzegorza Dworakowskiego – leśnika i obecnego prezesa koła, a sposób ich prezentacji sprawia, że książkę tę można traktować jako album fotograficzny o tematyce łowieckiej. Połączenie części opisowej z obrazami powoduje, że książka jest atrakcyjna nie tylko dla miłośników łowiectwa.

Pamięć o tradycjach łowieckich i upamiętnienie na kartach kroniki wartych zapamiętania myśliwskich spotkań i wydarzeń z życia koła jest doskonałą formą aby ocalić je od zapomnienia oraz z dumą przekazać młodszemu pokoleniu. Tym bardziej inicjatywa kolegów z KŁ „Jedność” w Białymstoku jest godna uznania i naśladowania „Wszak społeczności, które zapominają o swojej historii, nie mają przeszłości – ani przyszłości”.

foto z arch. Grzegorza Dworakowskiego

(od lewej) Prezes koła Grzegorz Dworakowski, najlepszy strzelec Piotr Maksimczuk, łowczy okręgowy ZO w Białymstoku Dariusz Krasowski



Jedyna diana w kole „Jedność” Alicja Milewska przy makiecie lisa





ŚWIĄTECZNE OPOWIADANIE

Sezon polowań zbiorowych w pełni, dobre sobie! Obwody czekają, zwierzyna zalega... Jasne. To dlaczego siedzę sam w pokoju i zastanawiam się, co ja tutaj robię? Po prostu domowym sposobem radzę sobie ze stresem i kontaktami z osobami zakażonymi SARS-CoV-2. Siedząc w swoim mieszkaniu nie muszę stosować zasad DDM: dystansu społecznego, dezynfekcji rąk oraz noszenia maseczki. Ale coś, za coś – z nudy domowej nachodzą mnie czarne myśli i zmartwienia. Jedyną rozrywką jest rozmowa telefoniczna z „przyjacielem po strzelbie” – Zbyskiem, który jest kilka lat starszy ode mnie.

Zbyszek posiada identyczne zmartwienie, myśliwską gwarą mówiąc, podobny „bezoar” co ja! Od kilku sezonów łowieckich lica mamy zniechęcone, za przyczyną, że po odejściu do Krainy Wiecznych Łowów nikt z potomnych nie odziedziczy naszych spadków i doświadczeń w monopolu łowiectwa. Ja jeszcze pokładałem cichą nadzieję w moim wnuczku, który nie jest ostatecznie ulepiony. Uczęszcza do szkoły średniej i prześwieca mi myśl, że go uformuję niczym plastelinę. W moim rodzie, jak myślą sięgam, rodziły się same białogłowy, które z myślistwem nic nie chciały mieć wspólnego, oprócz zdjęć z moją osobą, gdy paradowałem w myśliwskim, galowym mundurze. Zięciowie do dziś wołają inne profesje, jak szybkie samochody, stare motocykle lub wypady krajoznawcze do coraz to innych kontynentów. Żeby nie pandemia, to głupieli by, gdzie wymyślać wyjazdy! Zbyszek daleko gorsze ma utrapienie, dużo większe cierpienie przechodził na tym polu! Będąc w kwiecie wieku – rodziły mu się same dziurawce, ale nie tak jak u mnie dwie – ale aż cztery pod rząd! Następnie one wychodząc za mąż, (Bóg mu dalej nie darzył) rodziły same dziewczynki. Dopiero ostatnia z nich, kiedy wszyscy byli przygotowani na powtórkę z rozrywki, powiła chłopaka, czyli dla niego wnuka!

– Ale się wówczas ucieszyłem, o mało nie zemdląłem! Byłem szczęśliwy, że ktoś po mnie przejmie spuściznę mojego życia, czyli mój spadek w łowiectwie – rzekł mi „przyjaciel po strzelbie”. Zięciowie, inaczej mówiąc mężowie moich córek, dobrymi są chłopami, złego słowa nie mogą na nich powiedzieć. Wykształceni są nadzwyczaj! Pracują, nie piją, są zaradni ale brakuje im najważniejszego: nie są nemrodami! Jednak, co krew myśliwska, to szlachetna krew. Najgorsze udręczenie, gdy przyjdą rodzinne spotkania, święta wielkanocne, czy też bożonarodzeniowe! Wówczas nie mogę rozwinąć konkretnych tematów łowieckich! Po prostu z nimi nie mam o czym dyskutować przy rodzinnym stole!

Gdy się dowiedziałem, że córka z zięciem zdecydowali nadać chłopcu moje imię - Zbigniew, to wiedziałem, że będzie z niego stu procentowy nemrod! Już czułem, że w jego żyłach bulgocze błękitna, myśliwska krew – tak snuł swoją opowieść Zbyszek. Zliczając wszystkie spódnice, wraz z moją żoną, w rodzinie było aż dwanaście kobiet, no i nas dwóch Zbyszków. Dziś wnuk liczy ponad dwadzieścia pięć lat. Wówczas kolegom myśliwym nie mówiłem o moim szczęściu, bo bez przerwy drwili ze mnie, że dziurawy jestem krawiec! Same córki mi spod igły wychodzą. Poniekąd mieli rację, przecież, to był obłęd! Cztery córki pod rząd. Później też same dziurawce, kto by mi uwierzył, że jedenasty z kolei to chłop. Sam nie dawałem wiary, że to nie dziewczynka, dopóki nie zobaczyłem na własne oczy dość dużego jak na niemowlaka przyrodzenia.



Wnuk rósł jak na drożdżach, mieszkał z rodzicami o dwa bloki dalej. Na szczęście rodzice od rana do wieczora zawodowo tyrali, więc Zbysiu więcej czasu spędzał z dziadkami. Wyrwaliśmy go sobie z rąk! Jak tylko miałem możliwość, to przygarniałem go do siebie, bo babcia upasła by go niczym wieprza! Nie mogłby chodzić na własnych nogach. Wymyślała przeróżne kulinarne smakołyki, a mnie krew zalewała, gdy słyshałem: – Zbysiu, zamiast mówić, jak dotychczas mawiała do mnie: sta-

ry byku! A może masz ochotę na ciasteczko? A może na mielonego? A może na zupkę pomidorową, a może mleczną ... ?

Ja, wówczas jej na złość, zabierałem Zbysia do lasu... „Na barana” wnosiłem go na ambone! Niech się przyzwyczaja do łowiectwa. Najciekawiej było w lato, gdy rodzice wyjeżdżali na urlop, to my ze Zbysiem całe dni spędzaliśmy w łowisku. To było eldorado, istne „hulaj dusza piekła nie ma”. Po powrocie, późnym wieczorem, od żony dostawaliśmy „opieprz”. Dodatkowo córka narzekała, że go rozpuściłem, jak „dziadowski bicz”. Rzeczywiście pozwalałem mu na wszystko, ale babka również rozpychała go żarciem, że chodził, jakby był opuchnięty po ukąszeniu przez pszczoły. Dzięki moim wyskokom do lasu, spalał większość tłuszczu. Później przyszła szkoła podstawowa. Moim zadaniem był transport Zbysia na godzinę 8.00 pod samą bramę szkoły i odbiór maluchem 126P. Mijały lata, Zbyszek pod koniec podstawówki samodzielnie chadzał do szkoły, a po lekcjach przychodził na babcine obiady. Sporydcznie jeździł ze mną na polowania! Musiał przykładać się do nauki. Po podstawówce była szkoła średnia i już nie miał czasu na żadne wyskoki do lasu – ważniejsza

była edukacja. Oj, przepraszam! Byliśmy raz wspólnie na ambonie. Dopóki było widno, czytał książkę, później się nudził przeokropnie, wiercił, ziewał, aż przysnął na moje szczęście. Nie przeczę, Zbysiu zdolnym do dziś jest wnukiem! Po ogólniaku dostał się na Uniwersytet Warmińsko-Mazurski. Jako jedyny chłopak wśród wnuczęt, jest moim ulubieńcem, pomimo, że nie bardzo już garnie się na nemroda. Ostatnio, gdy odbierał comiesięczny zastrzyk gotówki, obiecał mi, że gdy skończy edukację wstąpi na staż do mojego koła łowieckiego. Więc dołożyłem mu jeszcze 200 zł z moich zaskórniaków! – Teraz mam na głowie naukę i jeszcze raz naukę – powiedział mi na pocieszenie.

– Nie mów mi, że na uniwersytecie tylko wyłącznie się uczysz? – No, nie tylko. Jeszcze dziewczyny mam na głowie! – uśmiechnął się, odchodząc do czekającej studentki.

Rozumiałem go z własnego doświadczenia. Chłopak był dorosły i potrzebował towarzystwa dziewczyn, zamiast przesiadywać ze starym dziadem, i do tego w leśnej głuszy, na ambonie.

– Skończył pięcioletnie studia i pojechał doszlifować język do ciotki do Londynu, a ja przeszedłem na emeryturę, którą przeciągałem w nieskończoność, żeby mieć z czego i po cichu dofinansowywać wnuka! W jednym dniu wszystko się skończyło, pstryk i przeszedłem na pobory ZUS. Niedługo przyjdzie umrzeć w ślad za żoną, którą pochowałem rok temu, cholera jasna...

Gdy zostałem samotny, za żadne skarby świata nie mogę przyzwycząić się do roli emeryta. Gdy przez czterdzieści pięć lat wstawałem o szóstej rano, to nie ma zmiłuj się, żebym pospał do godziny ósmej, pomimo, że mam wyłączony budzik. Godzina szósta, ja już na nogach, umyty, ogolony i elegancko ubrany, nawet w krawacie. Konsumuję śniadanko, bezwzględnie z pełnoziarnistym pieczywem, tak mi ostatnio poradził przez telefon lekarz, jednocześnie karcąc za mój podwyższony cholesterol. Po zjedzeniu kanapek pijam całość siemieniem lnianym, ze względu na ewentualne wrzody żołądka. Po tej powolnej konsumpcji nie mam gdzie wyjść. Żeby nie pandemia, to bym pojechał w łowisko, ale ze względu na mój wiek i prośby medyków o niewychodzenie z mieszkania – siedzę w domu, jak „wrzód na dupie”. Wegetując w domu, dla „zabicia czasu” wypijam kawę bezkofeinową, pomimo że uwielbiam normalną, czarną! Bezkofeinową, ze względu na moje wysokie ciśnienie i zaczynam dumać, co tu począć z dzisiejszym dniem. A może zacząć pić do lusterka i to na okrągło? Odpada, w moim wieku nie przeżyłbym kaca. Najlepiej będzie, jeżeli wypiję drugą kawę, ale zbożową, która zawiera sporo magnezu i potasu... I pooglądam seriale telewizyjne! Na początek powtórkę „M jak miłość”, później „Ranczo”, następnie „Komisarz Alex”. Włączyłem telewizor... pechowo, bo leciała reklama jakiegoś leku na podtrzymywanie moczu, za nią następna reklama pochłaniacza bólu. Po pięciu minutach, nie wytrzymałem i wyłączyłem telewizor. Trudno, nie po to się ubierałem, żebym się rozbierał, więc ubrałem się stosownie, jak na tę porę roku, zabezpieczyłem maską przeciw koronawirusom, rękawiczki i wyszedłem na spacer wokół bloków.

Dość ładna pogoda, jak na grudzień! Ileż można chodzić po osiedlowych alejkach i gapić się na młode matki w maskach, które pchają pociechy w wózkach? Godzinę, może dwie? Mocno ucieszyłem się, gdy spot-

kałem dawnego znajomego, ale do pierwszych słów. Moi koledzy pozamieniali się w „upierdliwych” staruchów, którzy potrafią mówić tylko o swoich chorobach i ilu już zachorowało na koronawirusa!

Gdy wracałem do swojego bloku, spotkałem pierwszą swoją miłość, która o mało nie doprowadziła mnie do zawału serca. W pierwszej chwili jej nie poznałem, to ona mnie zaczepiła! Rozpoznała mnie pomimo maski. Na początku ucieszyłem się ze spotkania! Ubrana była w wysokie kozaki, dość krótką jesionkę... Paradowała z odkrytą twarzą i gołą głową... Wzbudziła we mnie lekkie zażenowanie. Czy w jej wieku można się tak ubierać? „Stara wariatka”! – pomyślałem. A ona, nie owijając w bawełnę rzekła mi prosto z mostu, bez ogródek: – Zbyszek, czyś ty na głowę upadł! Kto na spacer i w dość ciepłą pogodę chodzi w futrzanej czapie, w ciepłym kożuchu i pod krawatem? Jeszcze gorzej „wkurzony” popatrzyłem na „stara wariatkę”, która wcale nie wyglądała na taką starą. Myślę, że była dużo młodsza od mojej osoby! Już nie pamiętam o ile to lat. Twarz miała dość inteligentną i dość ładną, jak na swój wiek. Nogi miała jako takie, a kozaki podkreślały ich zgrabność! Jesionka zaznaczała sterczący biust i wcięcie w tali. Musi nosić gorset opinający, co go reklamują dla starszych pań. Jak ona ma na imię? Wyleciało mi całkiem z głowy. Podchodząc bliżej do mnie, wyjęła z torebki i założyła na twarz maskę, mówiąc: – Zbyszek! Co porabiasz? – Od niedawna jestem wdowcem na emeryturze. Żona zmarła rok temu. Aktualnie mieszkam sam i nudzę się przeokropnie! A co u ciebie? – zapytałem moją pierwszą miłość. – Od pięciu lat jestem wdową, też żyję samotnie. Za mąż wyszłam za warszawiaka, dotychczas mieszkaliśmy w stolicy. Pół roku temu sprzedałam mieszkanie w Warszawie i przyjechałam na stare śmieci. W przeciwieństwie ciebie, wcale się nie nudzę! Jestem dianą w warszawskim kole, które tu niedaleko ma swoje dwa obwody. Nawet nie chwaląc się, jestem w zarządzie koła, piastuję funkcję sekretarza – stwierdziła. – O Boże! – krzyknąłem radośnie – Ja też jestem zapalonym myśliwym!

Dalsza nasza rozmowa zboczyła na ciekawe tory, bo na myśliwskie tematy. Nawet powiedziała mi ciekawy dowcip o polującej kobiecie: Diana telefonuje do swojej niepolującej przyjaciółki: – Jutro z samego rana wpadnę po ciebie, pojedziemy na polowanie do lasu! – Ależ kochana, ja nie potrafię polować, ja nie jestem nemrodem! – A co w tym trudnego? Wejdziemy na ambone, wypijemy po łyku z piersiówki, poplotkujemy, podrzemiemy z dwie godzinki i wrócimy. – Okej, jak tak, to jadę!

I tak Zbyszek radykalnie odmienił swoje życie – spotykał na drodze przyjaznego nemroda czyli dianę. Teraz razem nie tylko polują, ale wsłuchują się w szum drzew i śpiew zimowych ptaków. Naukowo zostało udowodnione, że odgłosy natury stymulują układ odpornościowy człowieka i to dużo skuteczniej niż muzyka poważna czy cisza czterech ścian mieszkania. Teraz codziennie przebywają w otoczeniu drzew, bo bliski kontakt z drzewami – dotykanie ich, przechadzanie się po lesie, wdychanie leśnego zapachu działa leczniczo, a kuracja nosi nazwę – sylwoterapia. Również wszędobylski koronawirus na świeżym powietrzu znika bardzo szybko, w lesie po 15 sekundach – więc wolą przebywać w lesie niż w domu!



Andrzej
Czapliński

Ziemiańskie wigilie i świąteczne zwyczaje, szczególnie na Kresach Rzeczypospolitej, obrosły legendą. Mityczne dla współczesnych myśliwych Kresy Wschodnie były „rajem dla myśliwych”. Świata, który legł w gruzach wraz z początkiem II wojny światowej, już nie ma. I choć nie wróci, przypominają o nim niszczące okazałe dwory i długa wielopokoleniowa tradycja. A jak tradycja to świętowanie – czynność, która zapisana jest od dawna w polskim kodzie kulturowym. Szczególny wymiar miało przeżywanie, jakże inne niż dziś, Bożego Narodzenia. To było na wskroś „polskie” święto.

Przygotowaniem wieczerzy wigilijnej zajmowały się kobiety. W tym czasie mężczyźni byli zajęci inną ważną czynnością, traktowaną nieomal jak rytuał – zgodnie z powszechnym obyczajem udawali się na wigilijne polowanie. Wyjście mężczyzn na polowanie odpowiadało także gospodyniom, nie przeszkadzali w domowej krzątaniu. Czasem i starsze dzieci wysyłane były z domu i chętnie brały udział w nagance. W Wigilię polowanie trwało do pierwszego ubitego zwierza, „do pierwszej farby”, po czym składało się dziękczynienie za pomyślne łowy i życzyło udanych polowań w nadchodzącym roku.

„W to najmilsze święto godzi się, a nawet należy polować. Kto bowiem w dniu tym choć kilka chwil spędzi pod znakiem św. Huberta, ten może spodziewać się dobrego łowieckiego roku” – zanotował w kontekście Wigilii Adam Konopka, posiadacz ziemski z Modlnicy.

Podczas tego polowania strudzeni myśliwi, nawet po najlepszych łowach, nie mogli liczyć na obfity posiłek. Co najwyżej jadano skromne ziemniaki, zagryzano śledziem i razowcem. Przestrzegano bowiem skrupulatnie, aby aż do uroczystej kolacji, zgodnie z obowiązującym postem, nie najadać się do syta. Co innego, jak nakazywała myśliwska tradycja, było kosztowanie wódki po udanym polowaniu. Kieliszek tego trunku na rozgrzewkę, jak znalazł!

Za „zdobycie” choinki – sosny, jodły lub świerka – odpowiadał pan domu. Często przywoził drzewko prosto z lasu, niekiedy jednak trzeba było kupić je od miejskich handlarzy. Drzewka strojono na różne sposoby, choć wcale nie dominowały bombki. Aby kupić te skądinąd piękne szklane ozdoby, trzeba było się sporo nachodzić i nie szczędzić grosza.

Bywały też przypadki, że rezygnowano z nich z innych powodów. Gdy w 1918 roku odzyskaliśmy niepodległość, zarządzono bojkot niemieckich wyrobów, w tym także bombek. Za to świeczek, „anielskich włosów”, cukierków, ciasteczek, orzechów, pierników czy owoców, na leśnym drzewku nie mogło zabraknąć.

Do kolacji wigilijnej zasiadano oczywiście w jadal-



zdjęcie z arch. autora

Ziemiańskie święta

ni. Jadano przy użyciu najlepszej z możliwych zastaw. Dominowała porcelana, także pochodząca ze słynnych europejskich manufaktur. Jedzenie na talerzach wykonanych w Miśni czy Sevres, czy popijanie z kieliszków ozdobionych rodzowymi herbami, dodawało jeszcze większego splendoru już i tak wzniosłej, przeżywanej chwili. Obowiązywała niepisana zasada, aby sztuce wymieniać już po spróbowaniu jednej potrawy.

Luksusy nie oznaczały bynajmniej, że zapomniano o potrzebujących. Starym zwyczajem, na stole zostawiano talerz dla „nieznajomego wędrowca”. W niektórych domach pamiętano też o bliskich zmarłych. Wierzono, że błakające się po zaświatach dusze mogą zechcieć posilić się w tak szczególnym dla chrześcijan dniu.

Wigilijne popołudnia upływały w atmosferze wycekiwania. Domownicy oczywiście byli głodni, ale tu chodziło o coś więcej. Szczególnie najmłodsi wpatrywali się w okna, wyczekując pojawienia się na niebie jasnego punktu. To miał być sygnał, że wieczerzę czas zacząć. Jeszcze tylko obowiązkowe dzielenie się opłatkiem – przyniesionym wcześniej przez kołędników – oraz składanie życzeń i siadano do stołu.

Odświętnie ubrani, zasiadali każdy według z góry ustalonej kolejności. Najwyżej w hierarchii rodzinnej była najstarsza kobieta – często była to matka gospodarza domu, a więc babka jego dzieci. Zasiadała w miejscu najbardziej eksponowanym, otaczając się innymi domownikami bądź przybyłymi z innego dworu zaprzyjaźnionymi gośćmi (nigdy z pustymi rękoma). Ci bardziej przesądni martwili się, gdy liczba uczujących nie była parzysta (miało to oznaczać rychłą śmierć jednego z uczujących). Ustawiane na stołach puste talerze nieco ich uspokajały.

Menu było przebogate, stoły aż ugięły się od wszelakich dobroci. Tradycja mówi o 12 daniach, ale czasem bywało ich nawet więcej. Na początek – oczywiście zupa. Podawano niekiedy kilka do wyboru, każdy znalazł coś dla siebie. Obowiązkowo barszcz z uszkami i grzybową – tak jak dziś w większości polskich domów. Nieznaną dziś „polewką”, a jadaną na dworach z zami-

łowaniem, była zupa migdałowa. Wybór ryb był także szeroki – od karpia, po liny i szczupaki. Smażone, w galarecie, gotowane, na żydowską modłę. Na słodko lub słono. „Dostojności” potrawom dodawał absolutny lider wśród przypraw – szafran.

Do tego przeróżne dodatki warzywne oraz sosy. Często jadano też postne gołąbki – z nadzieniem z kaszy gryczanej i grzybów. Pierogi – w różnych odmianach, zawsze bezmięsne. Na wielu stołach nie mogło zabraknąć nierozzerwalnie wpisanego w rodzimą tradycję bigosu, postnego, ale jakże bogatego: „Z mnóstwem borowików podsuszanych na słońcu, z dodatkiem cebulki i odrobiny czosnku, zrumienionych na świeżym maśle, z dodatkiem ziół tajemnie zbieranych o różnych porach dnia, nocy i roku” – opisywał nasze narodowe danie Jacek Jerzy Nieżychowski.

Prawdziwą królową dań była jednak, skromna bądź co bądź, kutia – połączenie maku, miodu, bakalii i ziaren pszenicy. Popijano kompotem z suszonych owoców. Całości dopełniały desery – najczęściej ciasta, np. pierniki, makowce, struclę z miodem i migdałami, a także pachnące cytrusy. Raczono się też alkoholem, kieliszek wódki, domowej nalewki lub likieru bezsprzecznie poprawiał trawienie. Najedzeni do syta domownicy mieli oczywiście świadomość, że uczta nie kończy całego wieczoru. Na tę chwilę szczególnie oczekiwały dzieci. Po skończonym posiłku pan domu zapraszał wszystkich do salonu. Ich oczy kierowały się na choinkę i na to, co pod nią leżało. Prezenty, cała masa prezentów. Chwila sprzyjała też wspólnemu śpiewaniu kolęd.

Kiedy ziemiańska rodzina radośnie spędzała czas przy zielonym drzewku, do stołu zasiadali służący. Zdarzało się, że ucztowali w tym samym miejscu, gdzie jeszcze niedawno jedli właściciele majątku wraz z bliskimi. Jadłospis był oczywiście o wiele uboższy. Jedno było niezmiennie – prym bezsprzecznie wiodła kutia. Właściciel dworu pamiętał także o obdarowaniu służby – zdarzało się, że tego jednego wieczoru wręczano kilkaset upominków.

Aby uczynić zadość tradycji, zaglądano do zagród ze zwierzętami. Dzielono się z nimi kolorowymi opłatkami, wierząc, że niebawem przemówią ludzkim głosem.

Wigilijny wieczór wieńczył udział w pasterce. Gdy tylko pozwalała na to zimowa aura, zaprzęgano konie do sań. To była niebywała frajda zwłaszcza dla dzieci, które wraz z rodzicami udawały się do kościoła na wspólną modlitwę. Uwagę najmłodszych zwracały też szopki, wystawiane na świątynnych ołtarzach. Nie była to jednak spokojna podróż saniami, a szaleńczy wyścig między gospodarzami. **Według tradycji ten, kto jako pierwszy przekroczył próg świątyni, nadchodzący rok miał spędzić w dostatku i urodzaju.**

Kończył się 24 grudnia, ale świętowanie dopiero się zaczynało. Boże Narodzenie kończyło post, a radość z Dobrej Nowiny i wspólnie przeżywanych w gronie rodziny chwil, nie miała granic.

„Dzień 31 grudnia ziemianie spędzali m.in. na zakrapianych polowaniach, o północy strzelali z batów na szczęście, składali życzenia i ucztowali w gronie rodziny” – napisał Tomasz Adam Pruszek w książce „Ziemiańskie święta i zabawy” wydanej przez PWN.

Właściciele wielkich majątków ziemskich Sylwestra rozpoczynali zwykle od polowań, na które udawano się saniami. W przerwach między odstrzałami zwierzyny (polowano przeważnie na zające i dziki) palono ogniska, przy których ogrzewano się oraz kosztowano alkoholu. „Podawano wcześniej przygotowane zakąski, gorące i zimne, oraz trochę wódki i koniaku. Około pierwszej po południu rozjeżdżano się na nowe stanowiska w nowym rewirze. Powtarzało się więc raz jeszcze to samo” – wspominał jedno z sylwestrowych polowań w lasach w Kozłowie Antoni Belina Brzozowski.

Piękne czasy, piękne obyczaje, które dzisiaj niestety odchodzą do lamusa. A szkoda ...

*W tekście wykorzystano publikacje Waldemara Kowalskiego.
zdjęcie z arch. autora*

Wszystkim kolegom myśliwym, dianom, sympatykom łowiectwa... i tym, którzy nas trochę mniej lubią, dedykuję...



Dzicza gorączka...

Od zawsze wiedziałem, że w życiu będę realizował dwie pasje: jazdę motocyklową i łowiectwo. Jako dzieciak już wsłuchiwałem się w opowieści mojego dziadka, który na tereny Mazur wraz z rodziną przybył w roku 1949 z tzw. „Kongresówki” – okolic Drzewicy i Opoczna. Przed wojną pełnił funkcję gajowego „tzw. lasów chłopskich”. Wiązało się to z posiadaniem broni. Myślę, że dziadek intensywnie polował, chociaż broni gwintowanej – z tego co mi wiadomo – nigdy nie posiadał. Na opowieści łowieckie było go trudno naciągnąć, ale kiedy się otwierał, jego gawędy przenosiły mnie w świat flory i fauny, oczyma wyobraźni widziałem chmary jeleni i watahy dzicze (choć w tamtych rewirach przed wojną za dużo ich nie było). Po przyjeździe na tzw. Ziemię Odzyskane przez pewien czas polował, ale później zrobiono

z niego tzw. „kułaka” i oczywiście broń należało zdać do depozytu albo skutecznie ukryć.

Do szkoły średniej poszedłem do Technikum Hodowlanego w Dobrocinie, gdzie bardzo pasjonowała mnie hodowla zwierząt i rozszerzona biologia oraz zoologia. Jednym z działów było też łowiectwo, które wręcz chłonałem. Już wtedy w szkole średniej próbowałem dostać się do koła łowieckiego (a właściwie nawet trzech, gdzie słyszałem „jeszcze nie teraz, może kiedyś, zobaczymy...”). Nie zniechęcało mnie to – wręcz mobilizowało do sięgania po wciąż nową literaturę łowiecką, której na początku lat 90 XX w. zaczynało się pojawiać coraz więcej.

Pierwsza moja praca jako wikariusza w parafii pw. świętego Józefa w Morągu i wizyta kolegów myśliwych KŁ „Słonka” Morąg - Zalewo. Potem padła propozycja rozpoczęcia stażu łowieckiego w tymże kole.

Polowałem w nim równe dwadzieścia lat. Pozna-

łem wielu wspaniałych ludzi, których łączyła wspa-
niała pasja. Po czterech latach zdałem egzaminy se-
lekcyjne i po kolejnych dwóch latach dekretem
śp. bpa Andrzeja Śliwińskiego zostałem kapelanem
myśliwych diecezji elbląskiej. Bardzo sobie tę funkcję
i wyróżnienie cenię. Jest dla mnie też wielkim zob-
owiązaniem. Doskonale pamiętam pierwszą strzeloną
sarnę, łanię i relatywnie późno strzelonego pierwszego
dzika. Szczególnie polowanie na zwierzynę czarną bar-
dzo mnie kręci i wyzwała największą adrenalinę.

Kolejne placówki pracy w Kwidzynie, Kwietniewie
- Świętym Gaju, i obecnie w Ząbrowie koło Iławy oraz
kolejne koła łowieckie, w których polowałem: „Knie-
ja” Kwidzyn, „Żubr” Elbląg, i „Łoś” Iława. Wspaniali
ludzie, których poznawałem.

Wydarzenia, o których chcę opisać miały miejsce
20 czerwca 2020 r. w miejscowości Różanka koło Susza.
Bardzo szczególnie czas, który przeżywamy (pandemii)
oraz pozwolenie na legalne polowanie z termowizją
i noktowizją zmieniły styl polowania. Polowanie z pod-
chodu zawsze uważałem za najbardziej wymagające
od myśliwego i strzał do zwierzyny relatywnie trud-
niejszy. Kolega Janusz, z którym poluję otropił rewir
i stwierdził, że uprawa grochu i sąsiedni łąn dojrzewa-
jącej pszenicy muszą być wielką pokusą dla dzików.

Po wpisaniu w książkę elektroniczną pojechaliśmy
przed 22:00 zająć sąsiadujące stanowiska. Tak krótkie-
go polowania dawno nie przeżyłem. Może po 15 mi-
nutach, za amboną w dragowinie, usłyszałem lekkie
pęknięcie gałązki. Za chwilę na uprawę grochu „wyje-
chał” mocny wycinek lub słaby odyniec (jak kto woli)
– 82 kg na haku. Po strzale nie zaznaczył, a ja z emocji
nie mogłem już drugi raz złapać go w lunetę. Po prze-
biegnięciu około 150 metrów świńskim truchtem, po
prostu położył się i spisał testament. Rozmowa telefo-
niczna z kolegą i postanowienie, że polujemy około pół
godziny, a później bierzemy się do roboty i transportu.

Mniej więcej po pół godziny, na końcu łąnu grochu,
zobaczyłem w termowizji sylwetki małych dzików lub
kóz. Szybka decyzja – schodzę to sprawdzić. Okazało
się, że były to trzy kozy. Kiedy wracałem ścieżką tech-
nologiczną i ponownie miałem przejść obok leżącego
wcześniej strzelonego dzika, nagle po prawej stronie
od niego zobaczyłem w lunecie termowizyjnej kolejną
sylwetkę grubego dzika. Pierwsza myśl – czyżby ten
pierwszy się podniósł? Ale to niemożliwe. Ponownie
w termowizji oglądam tego drugiego i powoli zaczy-
nam go podchodzić. Kolejne metry, kłębiące się myśli
czy mam dobry wiatr, na ile jeszcze mogę podejść i czy
strzał będzie bezpieczny. Rozstawiam pastorał, powoli
łapię go w krzyż lunety, ręce lekko drżą, bo widzę, że
jest to gruby dzik. Po strzale wyraźnie słyszę podwójne
uderzenie kuli. Zerkam w lunetę... i widzę, że on prosto
szarżuje na mnie. Wiem, że nie dam rady oddać po-
nownego strzału, szybkie przeładowanie broni i myśl,
że pociągnę za spust kiedy będę go miał bezpośrednio
przed sobą. Może ok. 30 metrów ode mnie słyszę jak
wali się w groch, kilkukrotne uderzenie biegów, spisa-
nie testamentu i głucha cisza.

Z emocji, dopiero za trzecim razem wystukałem
właściwy numer telefonu do kolegi, który zapytał mnie
dlaczego mam tak roztrzęsiony głos. Odpowiadam:
strzelałem grubego dzika. Na co on odpowiada: tak,
ale czterdzieści minut temu, a więc już chyba ostygłeś.
Zaprzeczam – Nie, przed chwilą.

Drugiego strzału nie słyszał, bo wsiadał do sa-
mochodu aby zaraz przyjechać po mnie. Mówię aby
zajechał z drugiej strony, wziął broń, latarkę, puścił

mojego psa, posokowca bawarskiego Borysa, abyśmy
sprawdzili to na spokojnie. Ale ja oczywiście nie wy-
trzymałem. Powoli podszedłem do strzelonego odyńca
i wtedy zobaczyłem jaki on jest duży i do tego bardzo
łojny. Szybka decyzja aby pojechać po zdecydowanie
większą przyczepkę i trzeciego kolegę, który pomoże
nam włożyć te dziki i przewieźć na skup.

Na skupie, ten drugi odyniec ważył 121 kilogra-
mów i 700 gramów. Jest to mój rekord życiowy. Po-
przedni odnotowałem parę lat temu w KŁ „Knieja”
Stary Dzierżoń, strzelając na polowaniu zbiorowym
samurę – 105 kg na czysto.

Widząc odyńca, kolega od razu zawyrokował, że
oręż z pewnością jest medalowy. Bardzo charaktery-
styczne, grube fajki oraz całkiem solidne szable zo-
stały wycenione w Olsztynie na bardzo mocne srebro
(119,35 p CIC).

Pozostał może lekki niedosyt, że tak blisko otar-
łem się o złoto. Ale wytłumaczyłem sobie, że mój złoty
dzik jeszcze biega w kniei. Strzelony gruby odyniec na
lewym przednim biegu miał bardzo charakterystycz-
ną i symetryczną okrągłą narośl wielkości dużej pił-
ki do tenisa ziemnego. Być może kiedyś był strzelany.
Co zupełnie nie przeszkadzało mu żerować i spędzać
sen z powiek niektórym myśliwym, którzy w łowisku
go już widywali. Kiedy myślę o tej sytuacji, przypo-
minają mi się historie, o których czytałem już w sta-
rych podręcznikach łowieckich, o dzikach chodzących
w parach, z których ten większy najpierw wypuszczał
na zwiady tzw. adiutanta. Tym razem jeden i drugi się
przeliczył.

W ciągu dwóch tygodni, wyjąłem z tego rewiru
cztery dziki, a widziałem znacznie więcej. Już zamówi-
łem pięknie rzeźbioną podwójną deskę pod dwa oręza,
stosowną tabliczkę i miejsce na srebrny medal.

Rozpoczął się sezon polowania na jelenie byki, ale
to polowanie nie dostarcza mi aż tak wielu emocji jak
polowanie na zwierzynę czarną. Pomimo, iż urodziłem
się na Mazurach, ciągle jestem zachwycony tą prze-
piękną krainą jak także Warmią i Powiślem. Historia
tego regionu jest fascynująca. Szczególnie mam na
myśli część Mazur, którą przed wojną określano jako
Oberland (Prusy Górne). Nasze piękne miasto Iława,
Jeziorak – najdłuższe jezioro w Polsce, przepiękne
kompleksy leśne i zagubione w kniei stare osady nada-
ją niesamowity koloryt i smak każdemu wyjazdowi do
łowiska. Życzliwość kolegów myśliwych w KŁ „Łoś”,
w którym poluję oraz właściwa atmosfera sprawiają,
że każde polowanie, czy indywidualne czy zbiorowe,
jest niesamowitą przygodą. Z pewnością wielu kolegów
strzeliło zdecydowanie większe dziki, bardziej orężne
i może w sytuacjach zdecydowanie ciekawszych, ale
opisane przeżycie jest dla mnie wyjątkowe, dlatego –
odpowiadając na sugestię kolegów – postanowiłem po-
dzielić się nim z szerszym gronem myśliwych.

Wielu sukcesów łowieckich, ciągłego zachwytu
polską przyrodą, ciekawości świata, kniei oraz spoty-
kania niesamowitych ludzi życzę z całego serca.

Darz bór!

*Kapelan i proboszcz parafii pw. Zesłania Ducha
Świętego w Ząbrowie koło Iławy.
ks. Mirosław Masztalerek*



X Mistrzostwa Warmii i Mazur w łucznictwie 3D

26 września 2020 r., na terenie Nadleśnictwa Wichrowo, już po raz dziesiąty odbyły się zawody łucznicze w formule 3D w cyklu zawodów Ligi Północ 2020.

Po raz kolejny zgromadziły one niemal 100 zapaleńców łucznictwa terenowego. W szranki sportowej rywalizacji stanęli łucznicy w różnych kategoriach wiekowych (dzieci, młodzież i dorośli) i sprzętowych poczynając od łuków tradycyjnych (TR), typowo sportowych (OL-olimpijskie) do współczesnych wyrobów wykonanych z nowoczesnych materiałów czyli łuków myśliwskich tradycyjnych (TR-HU) i myśliwskich łuków bloczkowych (HU-hunter).

Tym razem, organizatorzy w porozumieniu z PZŁ (fundatorem nagród), wyodrębnili dodatkową kategorię dla myśliwych członków PZŁ oraz myśliwych-łuczników posiadających międzynarodowe uprawnienia do polowania z łukiem. W tej kategorii dominują zawodnicy używający łuków bloczkowych.

Rywalizacja w tego typu zawodach polega na oddaniu celnych, odpowiednio punktowanych strzałów z łuku do piankowych makiet zwierząt naturalnych rozmiarów. Poszczególne cele ustawiane są na leśnej trasie przejścia w ilości 28 szt. w sposób utrudniający właściwą ocenę odległości i reakcję na możliwe sytuacje łowieckie. W krajach, gdzie łuki i kusze są legalnym narzędziem wykonywania polowania, zawody w takiej formule stanowią podstawowy trening podnoszący indywidualne umiejętności strzeleckie myśliwego, analogicznie do Konkurencji Sześcioboju Myśliwskiego na strzelnicach kulowych.

Trening łuczniczy jest formą treningu ogólnorozwojowego osób w każdym wieku, nie wymaga tak rygorystycznych obostrzeń jak trening z bronią palną i jest bez porównania tańszą alternatywą treningu strzeleckiego. Stanowi również doskonały sposób wspólnego spędzania czasu przez całe rodziny wraz z dziećmi.

XIII Zawody Łucznicze 3D – Ruciane-Nida Finał Ligi Północ 2020

Każdy, kto choć trochę jest zaangażowany w rywalizację w terenowych sportach łuczniczych wie czym są zawody 3D przy Zespole Szkół Leśnych w Rucianem Nidzie.

To potężna dawka łuczniczych przeżyć w towarzystwie nowych przyjaciół i doświadczonych w rywalizacji konkurentów. Bardzo cieszy nas liczne uczestnictwo dzieci i młodzieży w każdej naszej imprezie.

Tym razem były to zawody wieńczące cykl zawodów Ligi Północ 2020 oraz pozwoliły wielu kolegom na realistyczny trening i sprawdzian umiejętności przed wyjazdem na łucznicze polowanie na Słowację.

Organizatorzy ponownie wyodrębnili kategorie dla myśliwych-łuczników i członków PZŁ, którzy za zajęte miejsca na podium otrzymali ufundowaną prze ZO PZŁ w Olsztynie, literaturę łowiecką.

Organizatorzy już planują terminy zawodów Ligi Północ 2021 i Mistrzostw Warmii i Mazur, mając szczerą nadzieję na niezakłóconą niczym frekwencję.

Darz Bór.

Tomasz Paczkowski



Zawody łucznicze na Warmii i Mazurach: Ruciane Nida 2020.
Najmłodsi uczestnicy zawodów



Strzelająca rodzina Paczkowskich z łuków bloczkowych



Nagrody ufundowane przez ZO PZŁ w Olsztynie w kategorii Łowca członek PZŁ lub PBA



Diany z dyplomami

We wrześniu br. KŁ „Knieja” Olsztyn gościło w swym łowisku kolegę Adama Stępniaaka, osobę zaprzyjaźnioną z naszym okręgiem, honorowego członka PZŁ, byłego sekretarza Kapituły Odznaczeń Łowieckich PZŁ, byłego przewodniczącego Siedleckiej Okręgowej Rady Łowieckiej, jednego z twórców Hubertusa Węgrowskiego i aktualnie prezesa WKŁ 304 „Ryś” w Adamowie.

Kolega Adam był inicjatorem powstania, wykonanego z dostarczonych przez myśliwych łusek, pomnika łosia, który zdobi obecnie park miejski w Siedlcach. Autorem pięknego posagu łosia – symbolu Polesia – jest znany artysta rzeźbiarz i przyjaciel Adama Eugeniusz Ochnio.

Otóż Adam, będąc czytelnikiem „Myśliwca

Warmińsko-Mazurskiego”, po zapoznaniu się z naszą inicjatywą wybudowania pomnika jelenia mazurskiego, postanowił nas wesprzeć i przywiózł w darze 35 kg łusek mosiężnych, wysuwając się na pierwsze miejsce w zbiorach cennego dla nas metalu. Dziękujemy za piękny dar solidarności.

Będąc osobą, która żyje łowiectwem i dla łowiectwa, wspierany przez kolegów z koła, Adam Stępniaak podjął się organizacji akcji patriotycznej zatytułowanej „Ocalić od zapomnienia”, której treść przytaczamy niżej. Życzymy Tobie Adamie kolejnych udanych pomysłów oraz cennych inicjatyw dla dobra polskiego łowiectwa, w istotę którego jesteś zaangażowany. **Redakcja**



Adam Stępniaak

tekst i foto

W sobotnie południe 3 października 2020 r., przy drodze Unitów Podlaskich w Woli Gułowskiej odbyło się uroczyste otwarcie Alei Dębów Pamięci, będącej częścią ogólnopolskiej akcji „KATYŃ... OCALIĆ OD ZAPOMNIENIA”. W ramach społecznego programu, uhonorowano w Woli Gułowskiej pamięć siedemnastu ofiar zbrodni katyńskiej, oficerów 3 Pułku Strzelców



Konnych. W uroczystości wzięli udział myśliwi WKŁ nr 304 „Ryś” w Woli Gułowskiej, których siedziba znajduje się przy Alei Dębów Pamięci oraz objęli patronatem symboliczny pomnik pamięci mjr Dawida Janowicza - Czańskiego, zamordowanego przez Sowietów w Katyniu.

Adam Stępniaak



Paweł Błażewicz

Hubertus jakiego nie będzie i oby już nigdy nie było

3 listopada przypada wspomnienie świętego Huberta – patrona myśliwych i jeźdźców. Jest to także jeden z najdonioślejszych momentów w roku, w którym uroczyste łowy rozpoczynają sezon polowań zbiorowych.

Hubertus jest dniem pełnym magii, podniosłej uroczystej atmosfery, a przede wszystkim spotkań myśliwych, stęsknionych za swoim towarzystwem. Wyjątkowy moment, gdy na równi z polowaniem liczy się rodzinna atmosfera, w której doświadczeni nemrodzi są w stanie przekazać młodym adeptom myślistwa swe doświadczenie i niepisaną tradycję przekazywaną w kole. Z wyjątkowością Hubertusa równać może się tylko polowanie wigilijne, równie mocno przepełnione symboliką jedności człowieka i natury oraz pełne ciepłej rodzinnej atmosfery.

Mojego pierwszego kniejowego Hubertusa pamiętam dokładnie. Było to dla mnie – jako stażysty – wielkie przeżycie. Wielkie łowy w ambonowym systemie skandynawskim, podniosła atmosfera, płonące pochodnie i ci wszyscy myśliwi, których chciałem poznać, no i zaprezentować się z dobrej strony.

Sygnal „Apelu na łowy” rozpoczął przygotowania do polowania. Myśliwi rozjechali się aby zająć miejsca na wyznaczonych im zwyczajach. Naganka, której byłem częścią także się przygotowywała: odbłaskowe kamizelki naganiaczy i psów, odprawa i w drogę... Moją grupę

prowadził Sebastian Górecki, a jej dobrym duchem była żona Waldka Ostrowskiego. O umówionej godzinie rozpoczęliśmy pędzenie miotu. Moja miotowa drużyna dwa wachtle – Aria Leśna Brygada i Łoli od Walczaka – ruszyły w las. Sam już nie wiem, czy to podniosłość hubertowskich łowów im się udzieliła, czy delikatny stres debutantów na polowaniu zbiorowym. Jedno jest pewne. Pracowały poprawnie, głośząc zwierza!

Pamiętam dokładnie smak kanapki w przerwie pędzenia i słodko-kwaśny smak herbaty z miodem, który od tego momentu jednoznacznie kojarzy mi się z polowaniem, i bez którego nie wyobrażam sobie wyjazdu w łowisko.

W południe, gdy skończyło się polowanie, wyszliśmy wprost na stanowiska myśliwych. Pamiętam radość Rafała Gudowicza, którego św. Hubert obdarzył łanią i cielakiem. Do dziś mam przed oczami sprawność organizacyjną łowczego – Marka Wagnera oraz Waldka Iwaszko, którzy sprawnie kierowali działaniami związanymi z podniesieniem zwierza.

Powrót do Domku Wichrowskiego był przepełniony gwarem opowieści i pierwszych wrażeń. Uroczysty pokot – hołd oddany zwierzynie – sygnały pięknie zagrane przez Jarka Parola, wręczanie złomów. W końcu koronacja króla polowania i pudlarzy...

A to dopiero początek! Po polowaniu wspólny posiłek, gwar rozmów i myśliwskie opowieści. Po pracy w miocie obiad smakował wybornie. Jednak jeszcze miłszym akcentem było dla mnie to, że honorowy prezes koła kolega Piotr Sikorski zaprosił mnie do stołu, zagadnął, wypytał, a na koniec przedstawił innym nemrodom. Poczułem się szczególnie, doceniony, ale przede wszystkim jak u siebie... to uczucie towarzyszy mi za każdym razem.

[...]

Od kilku tygodni każdy dzień zaczynałem w jeden i ten sam sposób. Od sprawdzenia informacji, co z polowaniami zbiorowymi, a przede wszystkim z Hubertusem. Patrząc na to jak wyglądała sytuacja epidemiologiczna i w jaki sposób rząd wprowadzał kolejne ograniczenia, wiedziałem, że to raczej zaklinanie rzeczywistości, iż zbiorówki odbędą się, a przynajmniej te na początku sezonu. Jednak każdy dzień bez informacji o odwołaniu zbiorówek podsycił gaszony przez racjonalne podejście płomyk nadziei na spotkanie w kniei.

Aż w końcu zobaczyłem na stronie dubeltówkę zawieszoną na kołku. Nie musiałem rozwijać komunikatu... wiedziałem, że polowania odwołane. Z obowiązku tylko sprawdziłem, czy straciliśmy cały sezon, czy jeszcze jakieś zmiany wchodzą w grę. Jednak smutek jaki mi towarzyszył sprawił, że hasło „do odwołania” nie zabrzmiało z nadzieją.

Przyznam, że nie wiem, czego najbardziej żałuję. Czy tego, że psy nie pójda w miot. Czy może tego, że była szansa, aby na zbiorce pierwszy raz stanąć nie naprzeciw, ale w linii myśliwych. Z pewnością brak mi będzie spotkań z kolegami. A przede wszystkim rozmów z najstarszymi kolegami z koła, od których chciałem chłonąć jego piękną historię. Chciałem, żeby przy okazji Hubertusa zacząć cykl rozmów z nemrodami i dzielić się tymi opowieściami z pozostałymi kolegami na stronie internetowej oraz w kronice... Miałem nadzieję, że namówię ich nie tylko do wspomnień, ale razem z nieocenionym i niedościgłym Jackiem Szczepankiem także do tłumaczenia naszego łowiska ze wszystkimi jego tajemnicami w formie wspomnieniowego słowniczka. A krótkie spotkania z Jackiem Farenholcem, u niego w domu i z Piotrem Sikorskim w Radostowie, umocniło mnie w przekonaniu, jak wielką byłoby to dla nas młodych wartością i sztafetą pokoleń...

Cóż, nie tracę nadziei, że los da nam się znowu spotkać – wszak polowanie wigilijne przed nami! A jeśli nie znajdziemy okazji, by nasze drogi skrzyżowały się w łowisku!

Z okazji św. Huberta życzę wszystkim Darz Bór!

Jak nigdy zdrowia!

I do rychłego zobaczenia w kniei!



**Marek
Czerwiński**

tekst i foto

Strzelanie z postaw niestabilnych

Z początków zawodowej służby wojskowej zapamiętałem szczególnie jedno powiedzenie, którym szczerze obdarzał wszystkich szef baterii. Masz głowę i ch... to kombinuj. Dosadne, ale prawdziwe. Przekładając to na język łowiecki – każdy myśliwy powinien umieć skutecznie improwizować. Dotyczy to między innymi postaw strzeleckich.

Kilkanaście lat temu jeden z moich kolegów obdarował mnie ręcznie wykonanym pastorałem, a raczej monopodem. Zabrałem go na polowanie i starałem się wykorzystać podczas strzelania do lisa. Niestety, obraz przechery tańczył w siatce na wszystkie strony. Spudłowałem haniebnie, mimo że dystans był niewielki. Dlaczego? Bo nigdy wcześniej nie korzystałem z pojedynczej podpórki. Kłaniał się brak treningu.

Od tamtej pory nabyłem, jak też zrobiłem osobiście kilkanaście pastorałów. Mam również trójnożne, bardzo stabilne. Doceniam je, zwłaszcza podczas łowów na rogacza. Jeśli jednak chodzi o wyposażenie – jestem prawdziwym minimalistą. Nie zamierzam obciążać się nawet gramem zbędnego ekwipunku.

Gdy z ambony czy zwykły wykryję interesującego mnie zwierza – oceniam go za pomocą silnej lornetki albo lunety obserwacyjnej. Następnie oceniam kierunek wiatru i wyznaczam trasę podchodu, zawsze z wykorzystaniem osłon terenowych, takich jak drzewa, pasy zarośli, remizy i naturalne wzniesienia. Te ostatnie lubię najbardziej, bo chronią strzelca przed zbyt wczesnym wykryciem i zapewniają szerokie pole widzenia.

Przez całą drogę do wyznaczonego dozoru jestem w pełnym pogotowiu – z palcem na spuście i bronią gotową do strzału. Zwierz nie czeka; potrafi niespodziewanie przemieścić się w naszym kierunku. Możemy też wypło-

żyć go z wysokich traw. Mecz trwa 90 minut – powtarzał mój dawny mentor. Oznacza to tylko tyle, że musimy być gotowi do strzału przez całe polowanie, a nie dopiero wtedy, gdy przyjmimy wygodną postawę.

Podczas strzelania z broni gwintowanej, zwłaszcza z wykorzystaniem celownika optycznego, bardzo ważną kwestią jest wybranie w szybkim czasie najbardziej stabilnej postawy strzeleckiej. Dlaczego? Liczy się czas, ponadto nie strzelamy do plamy lecz na komorę. Musimy mieć jak największą pewność czystego trafienia. Jesteśmy to winni zwierzyźnie, której trzeba oszczędzić cierpień.

Najlepszą stabilizację zapewnia postawa strzelecka leżąc. Wiedzą o tym wszyscy, ale w terenie najczęściej przeszkadzają nam wysokie trawy lub brak dobrego kulochwytu. W polu znajduje się mnóstwo przedmiotów terenowych, ułatwiających oparcie broni. Należą do nich drzewa, ścięte pnie, słupki ogrodzeniowe, kamienie, kretowiny, naturalne nierówności gruntu, a nawet drut kolczasty. Dostajemy od natury tysiące możliwości. Praktycznie zawsze znajdziemy możliwość dobrego ustabilizowania broni. Kapitalną podpórką jest zwykły plecak myśliwski, w wielu sytuacjach jest on lepszy od profesjonalnego snajperskiego dwójnogu. Nada się znakomicie do strzelania z postawy leżącej. Na stosunkowo miękkiej podpórcie nie opieramy oczywiście lufy lecz tylko osadę, najlepiej blisko środka ciężkości broni. Plecak możemy położyć również na niewielkim wzniesieniu czy kamieniu, tak by ułatwić strzelanie w postawy siedząc lub kłęcząc.

Osobiście – przy braku jakichkolwiek podpór terenowych – wykorzystuję prostokątny, dość miękki futerał z dzienną lornetką. Ustawiam go w odpowiedni sposób (zależy to od wysokości traw) i opieram na nim łożę. Nie jest to oczywiście klasyczny dwójnóg, ale nieźle sprawdza się jako improwizowana podpórka.



Postawa strzelecka stojąc jest najgorsza z możliwych



Pas stabilizuje postawę stojąc

Podczas podchodu, nierzadko trzeba czołgać się. Warto więc solidnie wzmocnić materiał w miejscach narażonych na szybkie przetarcie. Naszywamy przynajmniej podwójne ilości mocnej tkaniny; konieczne w okolicach kolan i łokci. Inaczej spodnie po kilku wyprawach trzeba będzie wyrzucić.

Jeśli do stabilizacji postawy stojącej zamierzamy wykorzystać drzewo, opieramy na nim trzy palce lewej ręki. Palec wskazujący i kciuk obejmują łożo, usztywniają broń i nie pozwalają jej na stykanie się z pniem. Podczas strzału osada nie może być oparta na twardej powierzchni.

Często spotyka się myśliwych, którzy tłumaczą swój brak sukcesu podczas zasiadki np. niewygodną amboną i brakiem możliwości oparcia sztucera. W takich okolicznościach przydaje się średnio miękka podpórka, zakładana na ścianę ambony. Można kupić gotową, można też zrobić ją samodzielnie. Jako materiał wykorzystujemy skórę (najlepiej napełnioną piaskiem) lub mocną tkaninę.

Po wejściu na ambonę czy półkę natychmiast składamy się we wszystkich możliwych kierunkach. W ten sposób sprawdzamy martwe pola i inne słabe strony konkretnego urządzenia łowieckiego. Jeśli dysponujemy dalmierzem laserowym – mierzymy odległości do ważnych punktów terenowych i miejsc, z których spodziewamy się zwierza. Ułatwi to podjęcie decyzji o strzale.

Najgorszy wariant to strzelanie z postawy stojąc bez podpórki. Taki strzał jest zdecydowanie najtrudniejszy, a więc powinien być trenowany częściej. Jeżeli nie mamy czasu na poszukiwanie podpórki terenowej lub nie mamy ze sobą pastorału, strzelamy z jak najmniejszej krotności celownika.

Dużym błędem jest strzelanie z postawy stojąc bez podpórki, jeżeli w bliskim zasięgu znajduje się przedmiot, ułatwiający stabilizację broni. Tylko bardzo nieliczni strzelcy potrafią dobrze strzelać bez podpórki, a i ci muszą przyznać, że znacznie lepsze wyniki osiągną z postawy ustabilizowanej. Wyjściem może być tzw. podpórka biodrowa.

Znacznie lepszym wariantem jest strzelanie z postawy siedzącej, kłęczącej lub leżącej. Prawie każdy strzelec ma naturalne predyspozycje do przyjmowania konkretnej postawy – należy z tego korzystać, ale trzeba i trenować także pozostałe warianty. Regularny, suchy trening pozwala na intuicyjne wykorzystanie pamięci mięśniowej. Każdy z nas ma postawę strzele-

cką, której nie znosi. Osobiście parę razy spudłowałem z postawy kłęczącej, warto więc opracować wariant zastępczy. Znacznie łatwiejsza jest postawa strzelecka siedząc. Strzelanie siedząc z wykorzystaniem pasa nośnego pozwala na pewne lokowanie pocisku, nawet przy znacznych powiększeniach celownika.

Trzeba zdawać sobie sprawę, że samo polowanie nie jest miejscem na szukanie nowych rozwiązań. Nie ma na to czasu. Trenujemy postawy na strzelnicy, a utrwalamy na sucho w domu.

Pokazane w podręcznikach postawy strzeleckie nie są żadnym dogmatem. Nikt nie musi ich kopiować. Powinniśmy kierować się uzyskaniem jak największego komfortu podczas procesu dłuższego celowania. Jeśli podczas treningu, po przyjęciu wzorcowej postawy siedzącej, natychmiast odczuwamy ból kręgosłupa oznacza to, że nie jest ona przeznaczona dla nas. Bardzo dużą pomocą dla strzelca są wszelkiego rodzaju podpórki (przenośne lub stałe, zintegrowane z bronią), zaczynając od dwójnogu. Jeżeli możemy zająć pozycję w otwartym polu i trawa nam nie przeszkadza – dwójnóg będzie bardzo pomocny. Powinien mieć on możliwość regulacji każdej nogi oddzielnie i opory zapobiegające zapadaniu się w grunt. Ułatwi to strzelanie na małym zboczu lub w miękkim terenie. Im większy zakres regulacji wysokości nóg, tym lepiej.

Dwójnóg powinien dawać możliwość niewielkiego obrotu broni, bowiem cel często się przemieszcza. Jeżeli mamy już odpowiedni dwójnóg i trenujemy strzelanie w postawy leżąc, po pewnym czasie sami wpadniemy na prosty pomysł – stabilizacji poprzez podpórkę pod kolbę. Może to być wysuwana, regulowana opora lub zwykła, mała skórzana poduszka. Jednak warunki polowań bardzo często nie pozwalają na wykorzystanie dwójnogu, bo np. trawa jest zbyt wysoka.

Niedocenianym elementem wyposażenia strzeleckiego jest lekkie, proste siedzisko z tworzywa sztucznego, mające kształt zwykłego kwadratu o wymiarach np. 35 x 35 cm, z opaską umożliwiającą przenoszenie go na wysokości nerek. Przy przyjmowaniu postawy strzeleckiej siedząc, przesuwamy jednym ruchem improwizowane siedzenie pod pośladki. Zabezpieczy to dolną wrażliwą część ciała przed przemoczeniem i zimnem.

Część celowników optycznych ma poziomicę informującą strzelca o utracie stabilności układu broń-luneta. Ta bardzo przydatna innowacja pozwala uniknąć pudeł wynikających z przechylenia broni.



W wielu sytuacjach dwójnóg jest niezbędny.JPG



Postawa kłęcząca, zza drzewa

Przy braku dwójnogu czy podpórki terenowej, do stabilizacji postawy leżącej można wykorzystać tzw. sportowy pas nośny. Odpinamy go od tylnego bączka i pętlą pasa owijamy biceps lewego ramienia. Mocno napięty pas przechodzi dalej pod przedramieniem lub dłonią. Taka postawa jest bardzo męcząca dla osoby nie wprawionej ale przynosi szybkie efekty. Można i trzeba wykorzystywać także zwykły pas nośny do broni.

Większość dostępnych u nas pasów nośnych służy wyłącznie do przenoszenia broni. Jest to oczywiście logiczne, lecz nam potrzebna jest jeszcze jedna funkcja pasa – stabilizowanie postawy strzeleckiej. Wymaga to jego skracania i wydłużania, w szerokim zakresie.

Pasem oplatamy biceps, pamiętając o tym, by przednia jego część przechodziła po zewnętrznej stronie dłoni, podtrzymującej broń. Jeżeli sztucer ma wystający magazynek, pas przechodzi po jego zewnętrznej części. Jaka powinna być siła nacisku pasa, odczuwana na bicepsie? Jest to kwestia dość indywidualna, ale ja ustawiam pas tak, by czuć lekki ból na mięśniu.

Pas nośny wspomaga także strzelanie do celów ruchomych. Wielu myśliwych, strzelając kulą na zbiorówkach miałooby znacznie lepsze wyniki, gdyby stosowało pas, owinięty wokół ramienia. Wystarczy proste doświadczenie – puśćmy kilka razy tarczę dzika w przebiegu i prowadźmy ją, celując ze sztucera, z pasem i bez niego.

Pas nośny ewidentnie wspomaga także inne postawy strzeleckie – siedząc i kłęcząc. Pierwsza z nich, niedoceniana przez naszych myśliwych, jest wręcz idealna w niższych trawach i zaroślach. Instruktor powinien wychwycić cechy budowy indywidualnej strzelca (wzrost, stopień ewentualnych zwyrodnień kręgosłupa) i przekonać go do wybrania jednego z dwóch wariantów postawy siedzącej – po turecku lub po beduińsku.

W pierwszym wariantcie myśliwy podkłada nogi pod siebie, a łokcie opiera na kolanach lub za nimi. W drugim – strzelec siedzi z szeroko rozłożonymi nogami, zgiętymi w kolanach. Obcaszki zapieramy w ziemię, by podczas strzału nogi się nie rozjechały. Łokcie oparte są na kolanach. Postawa beduińska jest dość komfortowa.

Lewa dłoń, podtrzymująca łożo w żadnym razie nie powinna go ścisnąć, lecz być ułożona tak, by sztucer spoczywał na niej swobodnie. Osada leży więc na całej dłoni lub pomiędzy kciukiem, a resztą palców. W tej sposób ograniczymy wpływ możliwych zmian średniego punktu trafienia przy zmianach postawy.

Jeżeli dysponujemy trójnożnym pastorałem, możemy go wykorzystać także do ustabilizowania postawy kłęczącej czy siedzącej. Warto zauważyć, że dobry trójnożny pastorał najbardziej poprawia komfort strzału właśnie w postawie siedzącej.

Postawa strzelecka kłęcząc z pasem jest lepsza od stojącej, natomiast znacznie mniej stabilna od siedzącej, bowiem tylko jeden łokieć spoczywa na kolanie, a podparcie ze strony nóg jest bardziej chwiejne. Przypominam, że lewa noga znajduje się pod lewym łokciem, a sam łokieć opiera się o kolano. Łokieć ręki prawej powinien być przyciągnięty jak najbliżej korpusu. Możemy przysiąc na całej stopie lub tylko na pięcie.

Strzelanie ze sztucera z postawy kłęcząc z pasem prowadzi się przy konieczności oddania bardzo szybkiego strzału. Ograniczeniem jest mniejsza precyzja trafienia i szybkie zmęczenie strzelca. Oczekiwać w przykłęku można tylko przez krótką chwilę. Wykorzystujemy ją głównie wtedy, gdy zarośla są zbyt wysokie i nie pozwalają na strzelanie siedząc, natomiast w postawie stojącej zwierz nas wykryje. Możemy ją przyjąć znacznie szybciej niż postawę siedzącą. Innymi słowy, strzał z przykłęku może być wszystkim, na co pozwoli nam święty Hubert, gdy zwierz jest w ruchu, a czasu na wypracowanie innej postawy brakuje.

Zwykły pas nośny służy dobrze także podczas strzelania z postawy leżącej bez podpórki, ale w naszych warunkach przeważa teren płaski, gdzie brakuje pewnych kulochwytywów. Zanim więc zdecydujemy się na strzał z postawy leżącej pomyślimy przynajmniej parę razy.

Aby skrócić czas reakcji, sztucer już podczas przejścia z pojazdu do wyżki powinien znajdować się w pozycji gotowości do strzału. Można nosić broń z pasem owiniętym wokół ramienia, ale z dość nisko opuszczonym lewym łokciem. Nie męczy to strzelca. W przypadku pojawienia się celu, lekki ruch łokcia w górę napina pas (powinno być to zgrane z odbezpieczeniem broni, realizowanym kciukiem prawej ręki). W zależności od warunków terenowych i czasu jaki mamy w dyspozycji przybieramy postawę strzelecką stojąc, siedząc lub kłęcząc.

Wystarczy kwadrans ćwiczeń dziennie, by nauczyć się korzystać z dobrodziejstw pasa i utrzymać wysoką kondycję strzelecką. Ćwiczenie strzelania z postaw niestabilnych wpływa pozytywnie także na stan naszego kręgosłupa.



Zygmunt
Zalewski

Międzynarodowe zawody w strzelectwie



Wędrzyn Long-Shot 2020. Najwyżej na podium – Krystian Janczewski

Long-Shot Wędrzyn 2020

W dniach 19-21 września 2020 r., na strzelnicy Ośrodka Szkolenia Poligonowego Wojsk Lądowych w Wędrzynie odbyła się trzynasta edycja międzynarodowych zawodów w strzelectwie długodystansowym. Skupiający faktycznie światową elitę strzelców długodystansowych konkurs zgromadził ponad pięciuset pasjonatów tego rodzaju sportu, w tym około osiemdziesięciu żołnierzy zawodowych. Rywalizując z najlepszymi wśród najlep-



Long-Shot 2020, w środku Karol i Krystian Janczewski



22
MYŚLIWIEC
4 (86)/2020

Euro cup Drawsko - Mistrzostwa Europy

szych, doskonale wyniki osiągnęli strzelcy reprezentujący kluby strzelectwa długodystansowego funkcjonujące w województwie warmińsko-mazurskim. Po najwyższym laur zwycięzcy w klasie indywidualnej otwartej /OPEN/, z uzyskanym rezultatem 266/300 pkt., sięgnął Krystian Janczewski z Olsztyna. Korzystając z okazji osiągnięcia wybitnego sukcesu sportowego na arenie międzynarodowej, redakcja „Myśliwca Warmińsko-Mazurskiego” poprosiła go o podzielenie się z Czytelnikami naszego kwartalnika kilkoma istotnymi refleksjami, związanymi z uprawianym sportem, a także jego osobistą karierą sportową.

Zygmunt Zalewski – Jesteś wybitnym rusznikarzem. Pasja do broni jest nieodzownym elementem uprawiania Twojego zawodu na poziomie najwyższym lecz skąd zainteresowanie długodystansowym strzelectwem?

Krystian Janczewski – Broń była u nas w rodzinie odkąd Tata zaczął zajmować się rusznikarstwem, to była tylko kwestia czasu abyśmy z bratem zaczęli interesować się bronią i strzelectwem. Ale po kolei. Najpierw do „zespołu” dołączyła Mama pomagając Tacie w rusznikarni, a następnie w prowadzeniu sklepu, potem dołączyłem ja. Zaczynałem od sprzątania maszyn, toczenia śrubek i szlifowania kolb. Jako ostatni, co też było naturalne, dołączył „młody” czyli Karol. Pracując w tak specyficznym miejscu i branży nie sposób jest nie strzelać. Do czynnego uprawiania sportów strzeleckich namówił mnie śp. Jerzy Cieśla, podobnie jak sporą liczbę naszych kolegów i koleżanek z regionu. Pierwsze kroki jako strzelec stawiałem w KS.VIP, a potem jako współzałożyciel w WKS 10 Jonkowo.

Przygoda ze strzelectwem długodystansowym pojawiła się od wizyty na nieistniejącej już strzelnicy w Dąbrowie koło Bartoszczy, bo była to pierwsza w regionie, dostępna oś dłuższa niż 100m. Przez jakiś czas organizowano tam różne zawody na dystansie do 450m, m.in. dzięki zaangażowaniu pana Marka Czerwińskiego. Na pierwszy Long-Shot do Międzyrzecza, o którym dowiedzieliśmy się z bratem z jakiejś gazety, pojechalśmy w 2008r. nie strzelając przedtem nigdy nawet na 600m. W roku 2009, dzięki wysiłkom m.in. Rafała Walczowskiego, sformowano polski regulamin zawodów F-class, otwarto oś 600m w Bartoszczach i rozegrano pierwsze oficjalne zawody w tej konkurencji. Przez kilka lat funkcjonowania zawodów w Dąbrowie, bo do 2015 r., na tej strzelnicy spotykali się znajomi i przyjaciele, którzy chcieli bawić się w strzelanie do tarczy, która stoi trochę dalej. Myślę, że można zaryzykować stwierdzenie, iż polskie strzelectwo długodystansowe rodziło się u nas w regionie. Niesamowici ludzie oraz niezapomniany klimat tych zawodów spowodował, że strzelectwo długodystansowe wpisało się na stałe do mojego kalendarza i zajmuje w nim wyjątkowe miejsce.

Z. Z. – Jest nam wiadomo, iż od kilkunastu lat bierzesz udział w długodystansowych zawodach strzeleckich. Powiedz, jak na przestrzeni tego czasu zmieniała się uprawiana przez Ciebie konkurencja sportowa.

K. J. – Na początku wszystko było dla mnie, przede wszystkim, fajną formą spędzania wolnego czasu i dobrą zabawą. Nikt nie patrzył na klasy sprzętowe, kalibry, energię pocisku czy jak trzymasz karabin w trakcie strzelania. Rzadko kto miał kalkulator balistyczny czy stację pogodową, o wentylatorach do chłodzenia luf nie wspomnę. Z biegiem czasu – i coraz większym dostępem do coraz lepszych komponentów do elaboracji amunicji oraz do broni – pojawiły się różne klasy sprzętowe, w zależności od kalibrów, a teraz są regulaminy

długodystansowym

zawodów, które określają minimalną i maksymalną energię wystrzelonych pocisków lub pojemność magazynków. Zmieniła się również forma samego strzelania bo zawody długodystansowe to teraz nie tylko leżenie z karabinem na stanowisku i obserwowanie warunków atmosferycznych ale coraz więcej jest zawodów, na których trzeba strzelać z wymuszonych pozycji strzeleckich lub najpierw wykonywać różne zadania i pokonywać przeszkody by następnie móc oddać strzał. Trzeba też powiedzieć, że na przestrzeni tych kilkunastu lat także mocno zwiększyła się liczba osób uprawiających tę dyscyplinę strzelecką; to już nie jest spotkanie kilkunastu osób. Często trzeba punktualnie meldować się przed komputerem w dniu rozpoczęcia rejestracji na zawody żeby móc w nich wystartować.

Z.Z. – A co możesz powiedzieć o przebiegu oraz atmosferze zawodów w Wędrzynie.

K.J. – Long-Shot to już nie są tylko zawody, to święto strzeleckie, na którym trzeba być i tyle. Lata doświadczeń organizatorów i mnogość utrudnień jakie pojawiły się przez te kilkanaście lat przy organizacji takich zawodów przekładają się na ich bezproblemowy przebieg. Bo gdy strzelić musi ponad 400 osób w ciągu jednego dnia trzy dystanse, a w tym czasie zaczyna padać deszcz, a wiatr będzie zrywał mokre tarcze? Wszystko musi pracować jak w szwajcarskim zegarku żeby wszyscy zawodnicy zdążyli strzelić, zaczynając od ekipy zajmującej się rejestracją na zawody, przez kontrolę techniczną broni, aż po najważniejszą grupę ludzi czyli obsługę sędziowską na stanowiskach strzeleckich pilnujących bezpieczeństwa oraz tych co liczą punkty. I tak od pierwszego do ostatniego strzału.

Zawody odbywają się w konwencji trzydniowej. W piątek jest dzień treningowy gdzie każdy, zgodnie ze zmianą na którą się zapisał, ma możliwość oddać strzały próbne na poszczególnych dystansach. Sobota jest dniem strzelań ocenianych na trzech dystansach. Każda zmiana podzielona jest na określone stanowiska, które opatrzone są konkretnym numerem. Ten sam numer znajduje się również na tarczy przypisanej zawodnikowi tak aby przy odpowiedniej liczbie tarczownic na osi mógł zidentyfikować swoją tarczę. Zmiana dystansu następuje po tym jak wszystkie zmiany strzelą dystans poprzedzający. Czyli strzelając w drugiej zmianie strzelamy 300m około godz. 9:00, 600m około 11:30, a 800 m około 15:00. Wieczorem, organizator podaje wyniki na stronie internetowej zawodów. W niedzielę natomiast strzelamy dystans dodatkowy czyli tyle ile pozwoli pas taktyczny, na którym rozgrywane są zawody. Organizator określa to jako dystans 1000+, a w rzeczywistości wynosi on około 1100m.

Dobra atmosfera na takich zawodach jest zawsze bo jest to okazja by spotkać się z ludźmi tak samo pozytywnie zakręconymi na punkcie strzelectwa długodystansowego. Każdy walczy tam z wiatrem i swoimi słabościami strzeleckimi. Czasem znajdzie się jakiś niezadowolony co będzie protestował z tego czy innego powodu ale zawsze na koniec zapomina się o takich sytuacjach, bo przecież przed wyjazdem w drogę powrotną jest jeszcze losowanie nagród – niezależne od wyników jakie osiągnęło się na tarczach.

Z.Z. – W zawodach wzięło udział wielu długodystansowych strzelców, reprezentujących różne kluby strzeleckie w działające naszym województwie. Możesz przybliżyć Czytelnikom „Myśliwca Warmińsko-Mazurskiego” to zagadnienie?

K.J. – Z naszego regionu było nas tym razem nie-



Trzy drużyny Long-Shot 2020

wielu ale za to nadrobiliśmy jakością. Mamy mocną ekipę. Zaczę od Michała Jaroszyńskiego-Wolframa z klubu „SNAJPER” Mrągowo, który na tegorocznym Long-Shocie zajął drugie miejsce w klasyfikacji drużynowej w klasie MAGNUM. Michał ma na swoim koncie liczne sukcesy w strzelectwie długodystansowym, nie tylko w Polsce. Kolejnym wybitnym strzelcem jest mój brat Karol Janczewski, który również ma na swoim koncie wygrany Long-Shot w 2011r, i z którym w bieżącym roku, dwa tygodnie przed Long-Shotem zdobyliśmy na poligonie w Drawsku tytuł drużynowych Mistrzów Europy w klasie Sniper Open (klasa gdzie strzela się podobnie jak na Long-Shocie bez strzałów próbnych w dniu zawodów). Karol reprezentuje WSS Jonkowo. Obydwaj z Michałem są czynnymi myśliwymi. Z WSS Jonkowo jest jeszcze Piotr Onych i Adam Wardęcki, z którym zajęliśmy trzecie miejsce w klasyfikacji drużynowej na tegorocznej edycji zawodów Long-Shot. Jak powiedziałem wcześniej, jest ekipa i współpraca przy każdym wyjeździe na zawody. Nie ma podziałów na kluby. W tej kwestii powiedziałbym, że nie rozróżnia się wyłącznie przynależności do jakiegoś klubu

Z.Z. – Strzelcy z Warmii i Mazur mogą także pochwalić się wspaniałymi osiągnięciami na wędryńskim poligonie, nieprawdaz?

K.J. – Jak wspominałem, Karol stał już na najwyższym podium na Long-Shocie ale i Michał Jaroszyński-Wolfram kilkakrotnie również stał na podium. Z tego co pamiętam i Piotrek Onych kilkakrotnie był bardzo wysoko w klasyfikacji. Wygrywanie zawodów jest dla strzelca ważne ale o jego umiejętnościach świadczy regularność robienia dobrych wyników. Można mieć szczęście, wygrać jedne zawody, a na następnych być pod koniec stawki. W tego typu zawodach doświadczenie bieraliśmy latami ucząc się na własnych błędach. Osoby, które zaczynają przygodę teraz mają trochę łatwiej. Są kursy i szkolenia, jest więcej imprez tego typu i coraz więcej obiektów prywatnych oraz coraz większa przychylność wojska do współpracy z cywilami w zakresie tego typu zawodów.

Z.Z. – Uprawianie długodystansowego strzelectwa wymaga posługiwania się specyficzną bronią oraz doskonałą optyką. Jakiej broni używasz?

K.J. – Moim zdaniem jako strzelca długodystansowego prościej jest zapytać kto ci robił karabin albo jakim kalibrem strzelasz. Większość czołowych zawodników używa broni robionej na zamówienie. Thumaczenie z czego złożony jest mój karabin zajmie chwilę... Za bazę do budowy używanego przeze mnie karabinu posłużył kanadyjski „system” (tak określam zamek i jego obudowę) firmy Ultimatum Precision model Deadline, lufa to amerykański Kreiger o długości 790mm i średnicy 32mm, osada to MDT model HS3, a system spusto-

wy to austriacki Bix'n Andy, luneta to Schmidt Bender PMII o parametrach 12-50x56 połączona z karabinem montażem SPUHR. Wszystko poskładane i dopieszczone własnoręcznie w naszym zakładzie rusznikarskim... A kaliber to 300 PRC (Precision Rifle Cartridge) czyli pocisk kalibru 7.62 włożony do łuski 375 Ruger z kontem ramion 30 stopni, pocisk ELD-M Match 225gr/14,6g rozprędzony do 915m/s (fabryczna amunicja Hornady)

Przygodę ze strzelectwem można zacząć od fabrycznej broni, ważne jest żeby poczytać o poszczególnych zawodach i mieć świadomość określonych klas i ograniczeń regulaminowych

Z.Z. – Rozumiem, iż budowane przez Ciebie karabiny wyczynowe są doskonałe, o czym świadczą uzyskiwane wyniki. Czy tylko Ty ich używasz?

K.J. – Moja pasja do strzelectwa zrodziła się z pracy w zawodzie rusznikarza, więc naturalnym jest, że łączę przyjemne z pożytecznym, czyli wiedzę i doświadczenie zdobyte na strzelnicy przekładam w warsztacie na budowę broni do strzelań długodystansowych, a idąc w drugą stronę, rozwiązania wymyślone w pracy przekładam na proces udoskonalania swojej pasji. Jest wielu znakomitych strzelców w Polsce, ale i nie tylko, którzy używają czy to broni złożonej przeze mnie czy broni po moich modyfikacjach. Broń musi być dopasowana pod wieloma względami. Aby można było mieć szansę wygrywania nią zawodów, trzeba się z nią „zaprzyjaźnić”, musi się ona podobać musi być zrobiona według potrzeb strzelca, i powinna być zrobiona do „tej właśnie konkurencji”, w której zawodnik chce strzelać. Cieszą mnie bardzo dobre wyniki osób strzelających z „moich” karabinów, a zwłaszcza gdy są na zawodach w klasyfikacji przede mną, lub gdy całe podium zajmują zawodnicy z „moimi” karabinami. Należy jednak pamiętać, że karabin sam nie strzela i ostatecznie to jego operator odpowiedzialny jest za swój sukces lub porażkę.

Z.Z. – Należy zgodzić się z tym co przed chwilą powiedziałeś, a mianowicie, iż doskonałą broń może zbudować osoba, która jest jednocześnie pasjonatem strzelectwa, a zwłaszcza jeśli jest czynnym zawodnikiem sportowym. W obu przypadkach dotyczy to Twojej osoby. Czy planujesz doskonalenie produkowanej przez Ciebie broni? Branża rusznikarska nie wypowiedziała przecież ostatniego słowa w dziedzinie modernizacji broni strzeleckiej.

K.J. – Doskonalenie w zawodzie rusznikarza w pracy nad bronią tego typu jest poszukiwaniem i eksperymentowaniem z coraz to dokładniejszymi technologiami obróbki metalu, drewna i tworzyw sztucznych. Zawsze można tu coś poprawić, znaleźć coś nowego, co może być wykorzystane czy to w nakładaniu powłok na metale czy w łączeniu technologii z wykorzystaniem tworzyw sztucznych. Wymagania strzelców rosną i dlatego trzeba iść z duchem czasu. Zaczynając pracę w zawodzie, wszystkie elementy ze stali oksydowaliśmy. Na farbę patrzyłem jak na najgorsze zło, teraz prawie wszystko maluję bo pojawiły się farby cienkowarstwowe, które nie wpływając na pracę mechanizmów broni zapewniają lepszą ochronę w zmiennych warunkach atmosferycznych. Jako półfabrykaty, pojawiły się na rynku lekkie lufy w opłotach z włókna węglowego, przy których praca wymaga najwyższego skupienia i uwagi. Jest wiele różnych technologii i rozwiązań, do których przydatności jeszcze się w mojej pracy zawodowej przekonam.

Z.Z. – Serdecznie gratuluję wybitnych osiągnięć w dziedzinie sportowej i zawodowej oraz życzę kolejnych w przyszłości.

Z Krystianem Janczewskim
rozmawiał Zygmun Zalewski.

140 lat Muzeum Przyrodniczego im. Dzieduszyckich we Lwowie



Waldemar Smolski

tekst i foto

ka różnorodność kulturowa mieszkańców przepięknego miasta.

Muzea powstawały w różnych okresach, a tworzone je zgodnie z zapotrzebowaniem społecznym, politycznym czy po prostu z potrzeby chwili wielkiego ówczesnego świata. Tak się stało z Muzeum Przyrodniczym im. Dzieduszyckich we Lwowie.

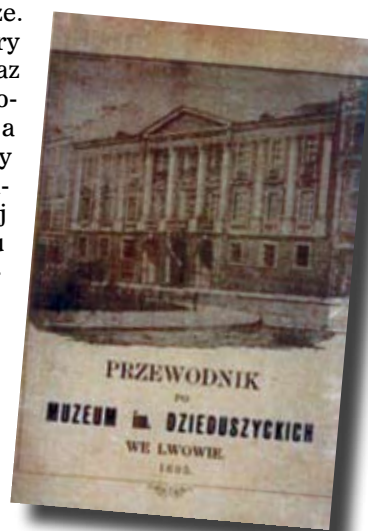
Gromadzone przez lata, przez kilka pokoleń kolekcje oraz zbiory Dzieduszyckich lokowane były w pałacach w Poturzycy, Pieniakach, Zarzeczu oraz we Lwowie. Były one oczkiem w głowie ordynata Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego (1825-1899), marszałka Sejmu Krajowego Galicyjskiego, jednego z najbogatszych magnatów galicyjskich XIX wieku, inicjatora powstania Galicyjskiego Towarzystwa Łowieckiego protoplasty Polskiego Związku Łowieckiego.

Majątek odziedziczył po rodzicach, jako jedyny syn Józefa hr. Dzieduszyckiego i Pauliny z Działyńskich. Z domu wyniósł zainteresowania przyrodnicze, etno-

graficzne i kulturoznawcze. Całe życie gromadził zbiory przyrodnicze, łowieckie oraz uzupełniał już i tak przebogate zasoby biblioteczne, a przez ostatnie dwie dekady życia poświęcił się intensywnej pracy naukowej oraz stałemu wzbogacaniu posiadanej kolekcji ornitologicznej i etnograficznej. Przedstawiciel starego rodu ruskiego, jak sam o sobie mówił, jednocześnie wielki polski patriota był wielkim rzecznikiem zbliżenia polsko - ukraińskiego.

Jego ideą życiową było utworzenie muzeum przyrodniczego. W 1868 r. kupił okazały budynek we Lwowie przy ówczesnej ulicy Tadeusza Rutowskiego 18 (obecnie ul. Teatralna 18). Jest on położony bardzo korzystnie, pomiędzy dwoma teatrami, wśród zabytkowej zabudowy starego Lwowa, w centrum miasta.

Po dokonaniu remontu i zaadaptowaniu na potrze-





Budynek Muzeum Przyrodniczego we Lwowie foto: W. Smolski

by muzeum, Włodzimierz hr. Dzieduszycki przeniósł tam swoje zbiory biblioteczne, cenną galerię obrazów z Poturzyca oraz rozproszone zbiory przyrodnicze. Po skatalogowaniu zasobów, stopniowo udostępniano muzeum zwiedzającym. Wraz ze zbiorami, do Lwowa przenieśli się: kustosz biblioteki poturzyckiej, późniejszy pierwszy redaktor czasopisma GTŁ „Łowiec” Józef Łoziński oraz jeden z najlepszych ówczesnych preparatorów Władysław Zontak.

Wykorzystując zapowiadaną wizytę cesarza Franciszka Józefa we Lwowie, Włodzimierz Dzieduszycki oficjalnie ogłosił w 1880 r. przekazanie utworzonego przez siebie Muzeum Przyrodniczego im. Dzieduszyckich darem dla Narodu jednocześnie zostając jego dożywotnim beneficjentem.

W tym samym roku wydano, opracowany przez hrabiego, pierwszy obszerny przewodnik po muzeum. Kolejne ukazały się w latach 1895 i 1906.

Tak zaczęła się 140-letnia historia tej wspaniałej placówki. Muzeum szybko zdobyło uznanie w kraju i za granicą. Niewątpliwie, wpływ na to miały zgromadzone tam zbiory.

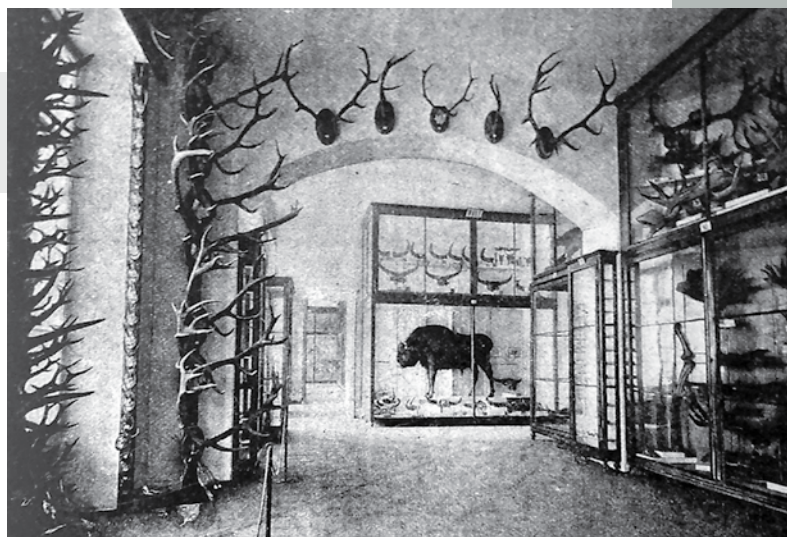
W okresie międzywojennym określano je, jako najbogatsze polskie zbiory przyrodnicze, prehistoryczne i etnograficzne.

Do najcenniejszych należą odkryte z początkiem XX w. we wsi Starunia koło Stanisławowa duże fragmenty szkieletu mamuta z ciosami oraz części ciała



Salę muzealną z ekspozycją tatrzańską. Muzealne zbiory ornitologiczne. Zdjęcia z 1910 roku.

nosorożca włosatego sprzed 30 000 lat (epoka plejstocenu). Oba okazy trafiły w 1908 r. do Muzeum Przyrodniczego we Lwowie, gdzie znajdują się do dziś. Ponadto, w jego murach znajdował się cenny "Złoty Skarb Michałkowski".



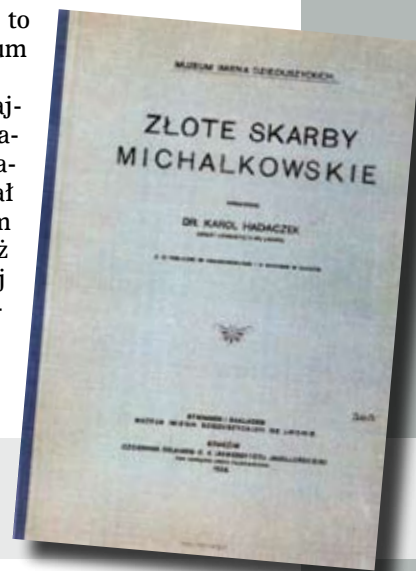
Salę muzealną z ekspozycją tatrzańską. Muzealne zbiory ornitologiczne zdjęcia z roku 1910.

Odkryte w latach 1878 -1879, w osuwiskach nadniestrzańskich przez miejscową ludność w Michałkowie koło Barszczowa, wykopalisko z VI-VII w. p.n.e. zawierało ok. 5 kg złotych przedmiotów m. in. połamaną złotą koronę królewską, biżuterię i inne artefakty, pochodzące prawdopodobnie z grobu króla scytyjskiego. Całe to wykopalisko zdobył dla muzeum Władysław Zontak.

Dokładny opis skarbu znajdziemy wydanym w 1904 r. opracowaniu Karola Hadaczka. Napisałem, że ów skarb znajdował się w Muzeum Przyrodniczym im. Dzieduszyckich ponieważ podczas okupacji sowieckiej (1939-1941) zaginął w niewyjaśnionych okolicznościach.

W latach przedwojennych, naukowa biblioteka muzeum liczyła ok. 70 tys. cennych tomów, w tym wiele rzadkich starodruków jak chociażby „Naturalis Historiae” Pliniusza Starszego. Podczas zawieruchy II wojny światowej i po jej zakończeniu zbiory te uległy rozproszению, ale i tak, to co zostało w bibliotece robi wrażenie.

Nadal znajdują się tam prawdziwe perełki z dzieł łowieckich.



Autor wraz z panią kustosz Iryną Susulowską w bibliotece muzeum fot. W. Smolski (2019 r.)



Sala ekspozycyjna. Otwarcie wystawy w dniu 21czerwca 2019 r.

Po 1945 r. placówkę spotkały trudne czasy. Po wojnie „zaopiekowała” się nim Radziecka Akademia Nauk i przez następne lata muzeum przeszło przeróżne stadia

reorganizacji oraz nie prowadziło ekspozycji wystawienniczej dla zwiedzających. Dopiero w 1960 r., w pomieszczeniach na parterze, utworzono ekspozycję parazytologii, która była dostępna dla zwiedzających do 1995 roku.

Następnie, z uwagi na zniszczenia wojenne, wyeksploatowanie, konieczność przeprowadzenia gruntownych prac zabezpieczających oraz modernizacyjnych, budynek został wyłączony z eksploatacji i poddany generalnemu remontowi.

Remont niesamowicie się ślimaczył. Trwał 17 lat (do 2013 roku). W tym czasie zbiory, po zabezpieczeniu, zmagazynowano w pomieszczeniach górnego piętra..



Szkielet mamuta z ciosami.



Autor w rozmowie z Andriyem Bogoteyem.

foto: W. Smolski

Od zakończenia remontu muzeum borykało się z brakiem funduszy na zorganizowanie godnej ekspozycji posiadanych zasobów. Przełom nastąpił dopiero z początkiem 2019 r., gdzie dzięki prywatnemu sponsorowi (Rinart Akhmetov Foundation) udało się stworzyć pierwszą małą jeszcze, ale już profesjonalną wystawę, której uroczyste otwarcie nastąpiło w czerwcu 2019 r., na które zostałem zaproszony.

Na tej ekspozycji pokazano m.in. to co muzeum ma najcenniejszego w swoich zasobach tj. szkielet mamuta z ciosami, oraz części ciała nosorożca włochatego.

Za życia Włodzimierza Dzieduszyckiego, generalnym kustoszem był Władysław Zontak. Od 1905 r. funkcję tę pełnił Marian Łomnicki, a w dwudziestoleciu międzywojennym dyrektorami byli: Jarosław Łomnicki (1915-1931) oraz Jan Kinel.



Autor obok popiersia Dzieduszyckiego w holu muzeum.

Do niedawna stanowisko dyrektora Lwowskiego Muzeum Przyrodniczego pełnił dr nauk biologicznych Jurij Nikołajewicz Czornobaj, pracujący w tej placówce od 1987 roku.

Obecnie funkcję tę pełni dr Taras Janyckij. W muzeum pracuje znaczne

grono wysoko wykwalifikowanych pracowników naukowych m.in.: Natalia Dzyubenko, Andrzej Bokotej, Wiktor Wojczyszyn, Sofija Bakajewa Anatolij Mamczur, Oleg Orłow, Maryna Raguline. Obecnie, na podstawie rozległych opracowań terenowych prowadzone są wielokierunkowe, wieloetapowe prace badawcze oraz prace nad zgromadzonymi kolekcjami, głównie zoologicznymi i botanicznymi, a także nad organizacją kolejnych ekspozycji muzealnych.

Historia – działającego obecnie pod zarządem Ukrainiejskiej Akademii Nauk jako Państwowe Muzeum Przyrodnicze – Muzeum Przyrodniczego im. Dzieduszyckich we Lwowie zaczęła się od pasji kolekcjonerskiej wielkiego polskiego działacza społecznego, myśliwego Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego. Jego wizja ekspozycji zbiorów jest nieaktualna, na co wpłynęły zmiany geopolityczne, destrukcje i zniszczenia wojenne, rozproszenie zasobów muzealnych, a także działania propagandowe i organizacyjne.

Natomiast przed nowym kierownictwem i pracownikami placówki stoi niełatwe zadanie opracowania nowej koncepcji ekspozycyjnej, w której mam nadzieję, iż znajdzie się miejsce na właściwe ukazanie jej bogatego rysu historycznego. Życzmy im sukcesu.

Szanowni czytelnicy "Myśliwca Warmińsko-Mazurskiego", nie omieszkajcie wstąpić do muzeum gdy będziecie we Lwowie...warto ! Myśliwi z Polski są tam mile widziani.

Powojenne początki łowiectwa na Warmii i Mazurach



Witold
Daniłowicz

W znanej książce, poświęconej okresowi bezpośrednio po zakończeniu wojny, Ian Buruma nazwał rok 1945 „rokiem zerowym” (*Rok zerowy. Historia 1945 r.*). Wymienione określenie wydaje się szczególnie trafnie odzwierciedlać sytuację na tak zwanych wówczas Ziemiach Zachodnich i Północnych, w tym zwłaszcza w ówczesnym Okręgu Mazurskim. Nadejście frontu spowodowało masową ucieczkę mieszkańców. Ofensywa zimowa Armii Czerwonej i późniejsza okupacja tych terenów przez czerwonoarmistów doprowadziły do ogromnych strat materialnych, a przede wszystkim do zniszczenia miast, spalania wielu wsi i zabudowań. Mieszkała tu niewielka grupa przedwojennych mieszkańców – tych którzy nie zdążyli lub nie chcieli uciec. Zaczęli też napływać nowi osiedleńcy – najpierw z sąsiednich Kurpiów i Suwałszczyzny, a później z Kresów Wschodnich.

Tereny naszego województwa zostały przekazane Polsce w wyniku ustaleń Konferencji Jałtańskiej. Już 14 marca 1945 r. na tych terenach utworzono Okręg Mazurski, przekształcony wkrótce w województwo olsztyńskie, i zaczęto organizować polską administrację. Sprawa nie była jednak tak prosta jak mogłoby się wydawać. Brakowało kompetentnych ludzi, a ci, którzy podejmowali się tego zadania często nie byli postaciami kryształowymi. Jednocześnie, na terenie Okręgu stacjonowały jednostki Armii Czerwonej, których dowódcy nie bardzo liczyli się z przedstawicielami polskich władz. Panowało ogólne bezprawie, grabież i gwałty. Do tego dochodziły trudne warunki aprowizacyjne, a często wręcz głód, potęgowany przez niezwykle srogie zimy w pierwszym okresie powojennym. Atmosferę tamtych lat wspaniale oddaje film *Róża Wojciecha Smarzowskiego*.

Trudno się dziwić, iż w tamtych warunkach zwierzyna była traktowana przede wszystkim jako źródło wartościowego mięsa, którego zdobycie z innych źródeł było praktycznie niemożliwe. Dlatego każdy, kto tylko mógł, starał się ją pozyskać wszelkimi dostępnymi środkami. Pozyskiwanie zwierzyny w ten sposób świetnie opisuje niemiecki arystokrata i lekarz Hans von Lehnendorff w swoich wspomnieniach z tamtego okresu zatytułowanych *Dziennik z Prus Wschodnich*. Okres 1945-1947 autor spędził na pograniczu Warmii i Mazur. Jego wspomnienia są tym bardziej ciekawe, że przed wojną był zapalonym myśliwym, a zaraz po wojnie mieszkał, a czasami ukrywał się, na terenie majątków, które wcześniej należały do jego krewnych i w których przed wojną polował.

Dziennik, jak przystało na wspomnienia rasowego myśliwego, skrupulatnie odnotowuje wszystkie spotkania autora ze zwierzyną, zwłaszcza w czasie nocnych wędrówek. Raz drogę mu przebiegała wataha dzików, innym razem natknął się na chmarę jeleni. Gdy idąc przez las ze swoją ciotką natknęli się na dwa zdziczałe psy, które zagryzły sarnę, przegonili je, a sarnę zawiesili na drzewie, aby ją później zabrać do domu. Próbował też polować, i to zarówno w celu zdobycia pożywienia jak i rekreacyjnie, „w celu zabicia nudy”. Okazało się, że jeden ze starych mieszkańców wsi, w której mieszkali, miał ukryte w lodowni dwie strzelby i amunicję. Po wyczyszczeniu nadawały się do użycia i umożliwiły autorowi udanie się na podchód – oczywiście w wielkiej tajemnicy (posiadanie broni palnej przez Niemców było zakazane) i z nadzieją, że nikt nie usłyszy wystrzału. Ciotka – była właścicielką majątku, do którego należała wieś i w której teraz miesz-

kali – brała udział w tym polowaniu w roli naganiacza. W zagajniku zlokalizowali lochy. Niestety, uszły bokiem i myśliwi (czy kłusownicy – w zależności od punktu widzenia) musieli wrócić do domu z pustymi rękoma.

We wspomnieniach von Lehnendorffa często natrafiamy na opisy polowań urządzanych przez czerwonoarmistów. Niestety nie są to przykłady etycznego łowiectwa, w dzisiejszym rozumieniu tego słowa. Autor nazywa ich wyczyny po prostu kłusownictwem. Oddajmy mu głos: „Rosjanie jadą na polowanie. Amunicję zabierają w dwóch workach po kartoflach. Wieczorem wracają z jeleniem i lochą. Wiele zwierząt postrzelili. Naganiacze też mają strzelby tak więc padło około 200 strzałów”. Wynik polowania nie był więc imponujący. Autor *Dziennika* z sarkazmem komentuje, że na polowaniu, w którym brał udział, zorganizowanym w tym samym miejscu przed wojną, oddano 36 strzałów, a na rozkładzie leżało 16 sztuk zwierzyny. Słabe wyniki Rosjan tłumaczy między innymi tym, że często strzelali oni na znaczne odległości. Pewnego razu widział ich strzelających do chmury jeleni z odległości co najmniej 800 metrów! Wynik innego polowania zorganizowanego przez Rosjan, którego świadkiem był von Lehnendorff, to trzy sarny, dzik, dwa zające. Postrzelono odyńca i jelenia, aczkolwiek postrzałów nie dochodzono.

W opinii autora wspomnień, korzystną stroną kłusownictwa uprawianego przez czerwonoarmistów było właśnie to, że w lesie można było znaleźć padłe sztuki, postrzelone przez Rosjan. Raz znalazł martwego lisa, którego zabrał do domu z nadzieją, że futro „przyniesie trochę pieniędzy, jeżeli Polacy je zechcą”. Jeszcze innym razem znalazł na śniegu farbę jelenia. Trop nieestetyczny urwał się na drodze – „zwierzynę zabrali najwidoczniej na polski wóz z drewnem”. Ale były też sukcesy. Idąc po farbę, von Lehnendorff znalazł kiedyś zwłoki starego byka postrzelonego dzień wcześniej przez Rosjanina Waśko, stacjonującego w ich wsi. Zdziwiony, że autorowi wspomnień udało się znaleźć postrzałka, Waśko usłyszał – „znam tu każde drzewo”, jako że Niemiec dużo polował w tych lasach, należących przed wojną do jego rodziny. Jeleń został przywieziony do wsi i za zgodą Rosjanina podzielony pomiędzy kilkuset mieszkańców, którzy od miesięcy nie widzieli mięsa. Von Lehnendorff zauważył przy tym, iż przed wojną uważano, że na tak starej sztuce nie ma prawie nic, co nadawałoby się do jedzenia!

W *Dzienniku* pojawiają się też Polacy. Generalnie można stwierdzić, że są pokazani raczej w korzystnym świetle, zwłaszcza w porównaniu z Rosjanami, których często obawiali się tak samo jak Niemcy. Szczególnie ciepłe słowa autor ma dla nadleśniczego w Schwalgendorf (Siemiany), o którym pisał, że był „zapalonym myśliwym, a w swej pracy kieruje się wiedzą i sercem. Troszczy się o ludzi w Schwalgendorfe, daje im w lesie zajęcie i zarobek”. Ów bezimienny leśnik był jednym z wielu polskich myśliwych, których los rzucił po wojnie na Warmię i Mazury. Przewodził im zasłużony przedwojenny działacz łowiecki inżynier Herman Knothe, pełniący wówczas funkcję kierownika Biura Technicznego Dyrekcji Lasów Państwowych w Olsztynie. Grupa ta prawie od początku swojego pobytu na nowym terenie podjęła próbę ujęcia łowiectwa w ramy organizacyjne, co w ówczesnych warunkach na pewno nie było rzeczą łatwą.

Analizując historię zorganizowanego łowiectwa na Warmii i Mazurach w okresie bezpośrednio po wojnie,

trzeba zwrócić przede wszystkim uwagę na brak uregulowań prawnych, na których pionierzy organizujący życie łowieckie mogliby się oprzeć. Przepisy niemieckie już nie obowiązywały, a stosowanie polskiego Rozporządzenia z 1927 r. nie bardzo miało sens w lokalnych warunkach. Nie było przecież ani obwodów łowieckich ani ich właścicieli. W Lublinie działał już Tymczasowy Zarząd PZŁ, który w sierpniu 1945 r. upoważnił inż. Knothego do zwołania zebrania myśliwych mieszkających na terenie ówczesnego Okręgu Mazurskiego. Uczestnicy ogłosili się Oddziałem PZŁ na Okręg Mazurski i powołali Tymczasową Radę Łowiecką. Powołali łowczych powiatowych i zaczęli tworzyć obwody łowieckie. A wszystko odbywało się bez żadnej podstawy prawnej! Trzeba bowiem pamiętać, że w tamtych czasach przynależność myśliwych do PZŁ nie była jeszcze obowiązkowa, a PZŁ nie miał żadnych kompetencji administracyjnych! Pomimo to do marca 1946 r. do PZŁ zapisało się 475 osób. Jest to niewątpliwie bardzo ciekawy przykład prawdziwej, spontanicznej i oddolnej samorządności.

Myśliwi zaczęli się organizować także na poziomie lokalnym. Przykładem może być historia Koła Łowieckiego „Rogacz” w Giżycku, które już w 1945 r. rozpoczęło działalność na terenie ówczesnego powiatu łuczańskiego (Łuczany to dawna nazwa Giżycka) jako Koło Myśliwskie nr 1! Legalne polowania odbywały się wówczas tylko w Lasach Państwowych. Problemów było wiele, a jednym z głównych był dostęp do broni. Przedwojenni myśliwi utracili broń w czasie wojny – tym, którzy nie zdali jej władzom polskim w 1939 r., skonfiskowali ją Niemcy. Nie było też łatwo uzyskać zezwolenie na posiadanie broni. W początkowym okresie posiadało je zaledwie 10-20% członków PZŁ.

A jak wyglądała sytuacja, jeśli chodzi o liczebność

zwierzyny? W swoim *Dzienniku* von Lehndorff zauważył, że pomimo iż Rosjanie dwa razy w tygodniu organizowali w jego okolicy polowanie z naganką, w lasach nadal było dużo zwierzyny płowej. Z kolei, w wydany w 1950 r. opracowaniu *Łowiectwo w Prusach Polskich*, J. Geysztor widział sytuację zwierzyny w ciemniejszych barwach: „Wskutek wojny ucierpiała, tak jak wszyscy i wszystko, i zwierzyna łowna. Zachodzi wprost obawa, że wiele gatunków może zagać na zawsze, bowiem jest obecnie tępiona przez kłusowników, wnykarzy i sidlarzy. Na wielu łowiskach, gdzie była masa sarn, dziś wybite są one zupełnie, łosi i danieli nie widuje się wcale, żeremia bobrów są poniszczone, jelenie są wybijane bez względu na płeć i wiek”.

Po wojnie kłusownictwo było prawdziwą plagą w całej Polsce, a na Ziemiach Zachodnich i Północnych wręcz „szalało”, jak to określono w sprawozdaniu napisanym do Komitetu Wykonawczego PZŁ w 1946 r. Jak wynika ze sprawozdań lokalnych działaczy PZŁ, a co potwierdzają wspomnienia von Lehndorffa, głównymi kłusownikami byli czerwonooarmiści. Kłusowali także żołnierze Wojska Polskiego, funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa, Milicji Obywatelskiej i różnej maści „niezrzeszeni kłusownicy”. Jak się zatem wydaje, procederem tym trudnili się wszyscy, którzy byli wówczas w posiadaniu broni palnej (legalnej czy nielegalnej). Można też zadać sobie pytanie, czy można tu w ogóle mówić o kłusownictwie. Parafrazując określenie wspomnianego na początku artykułu Buruma, sezon 1945/1946 w Okręgu Mazurskim był sezonem zerowym, w którym niemieckie zasady łowieckie przestały obowiązywać, a polskie jeszcze nie powstały. Jednocześnie był to czas, kiedy podstawową troską wielu mieszkańców było zdobycie pożywienia.



Ryszard
Kozon

Filip i Krystyna, czyli rzecz o miłości do zwierząt

„Nasza wiedza o zwierzętach musi zamieniać nasze działania na dobre czyny, nie dla idei czy dobrego samopoczucia, ale dlatego, że są słuszne”.

Tadeusz Szulc, *Zwierzęta w tradycji i kulturze*

Rankiem, szóstego maja 2018 roku, na drodze Janowo - Szczytno turystka z Warszawy potrafiła samochodem malutkiego, kilkudniowego cielaczka jelenia. Po wypadku jego szanse na dalsze życie były właściwie równe zero. Szczęściem turystka okazała się osobą bardzo wrażliwą na los pokrzywdzonego małego leśnego stworzenia. Wykazała wiele uporu i determinacji, aby znaleźć jakiegoś opiekuna potraconemu sierocie. Na jednej z benzynowych stacji w Szczytnie spędziła sporo czasu wydzwaniając do wszystkich możliwych instytucji zajmujących się opieką nad zwierzętami. Był też oczywiście kontakt z policją oraz z ludźmi zawodowo bądź hobbystycznie powiązanymi z lasem. Nie chciała się jednak godzić na żadne inne rozwiązania jak tylko takie, które zagwarantują dalsze życie zwierzęcia pod opieką życzliwych mu ludzi. Ostatecznie, takie załatwienie sprawy zaproponowali myśliwi z miejscowego koła łowieckiego. Do czasu formalnego przekazania zwierzęcia pod opiekę wyspecjalizowanej instytucji, jego losem miała zająć się mieszkanka wsi Sędańsk. W taki sposób malutkie stworzenie trafiło pod opiekę Krystyny Jonik.

W miejscowym środowisku pani Krysia od lat znana była jako osoba bardzo wyczulona na los domowych i leśnych zwierząt. Z jej opieki nie raz, nie dwa korzystały osieroceni bądź wypadkowi mieszkańcy sędańskich lasów. Między innymi był to koziołek Bambi, kózki Falina i Malina, bociany, jeże, jenoty i wiele innych. Tylko do lisów pani Krystyna nie czuła sympatii. W części wynikało to z faktu, że te przebiegłe zwierzęta nic sobie nie robiąc z faktu, iż nad rodzinnym siedliskiem czuwało aż trzech myśliwych z Koła Łowieckiego „Sokół”, kilkakrotnie zakradały się do kurnika Joników. Najbardziej jednak panią Krystynę zdenerwował lis, który w pobliskim zagajniku najpierw uczynił kaleką młodego sarniaka, a później dokończył niszczycielskie dzieła już na terenie posesji państwa Joników, gdzie koźle znalazło opiekę.

Koźle zostało znalezione w 2018 roku przez Karolinę, młodszą córkę państwa Joników. W trakcie spaceru po lesie przynależnym do rodziny, usłyszała przeraźliwy pisk. Nie bacząc na potencjalne zagrożenie ze strony sprawcy zamieszania, pobiegła w kierunku źródła hałasu i ujrzała, jak lis wgryza się w kark koźlęcia. Głośnym krzykiem odstraszyła drapieżnika. Ranne koźle przyniosła do domu, gdzie od razu zajęła się nim rodziną. Pomimo szybkiej pomocy weterynaryza koźle częściowo pozostało sparaliżowane. Uszkodzony przez lisa kręgosłup koźlęcia powodował niedowład jego tylnej



Idka z jednym ze swoich przychówków w obejściu gospodarstwa Bruna J. Fot. ze zbiorów rodziny myśliwego.



Bruno z Idką i swoim psem na spacerze w pobliżu rodzinnego gospodarstwa.

części ciała. Pani Krystyna chcąc pomóc zwierzęciu w przemieszczaniu się po posesji, skonstruowała coś w rodzaju wózka, na który przywiązywała tył zwierzęcia, a ono mając zdrowe przednie cewki szybko nauczyło się korzystać z dobrodziejstw pojazdu. Niestety, niedługo później, w trakcie wieczornego żerowania

w przydomowym ogródku, koziołka dopadł lis. Być może był to nawet ten sam, który wcześniej koźle pokaleczył. Cała rodzina Joników straciła kalekiego podopiecznego mocno przeżyła. Wszyscy bowiem szybko przywiązywali się do każdego zwierzęcia, którym na przestrzeni lat przyszło im opiekować się. Tak byli wychowani przez swoich rodziców – Agatę i Bruna.

W latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku Bruno zastąpił – najpierw jako niańka, a później opiekun dziczej lochy, nazwanej przez niego Idą. Idka przez wiele lat w najtrudniejszych zimowych dniach korzystała ze schronienia w gospodarstwie Bruna i Agaty. Tam mogła zawsze najeść się do syta. Gdy przychodził czas na kolejny miot potomków, prosiła się co prawda w leśnym barłogu, ale już po kilku dniach pojawiała się z gromadką pasiaków w obejściu Joników i tam je wychowywała przez pierwsze tygodnie. Później, z przychówkiem zniknęła w pobliskim lesie, by ponownie powrócić w okresie głodu, bądź w trudnych dla siebie porach.

Tak się zachowywała również część potomstwa Idki. Z biegiem czasu, coraz liczniejszemu potomstwu Idki i jej pobratymcom Bruno urządził stały punkt dokarmiania w pobliżu swego gospodarstwa. Wystarczyło, że idąc na miejsce dokarmiania dzików pohałasował trochę wiaderkami, by prawie tuż za nim na żerowisko podążały również okoliczne dziki.

Bruno, będąc myśliwym, był jednak przede wszystkim opiekunem zwierzyny. W historii macierzystego koła łowieckiego Joników zapisały się jego znamienne wypowiedzi na temat stanu zwierzyny w łowisku Sędańsk. Na pytanie kolegi myśliwego – Bruno są na Sędańsku dziki? Bruno popatrzywszy na niebo flegmatycznie odpowiadał – no ja, będzie padać... Gdy swego czasu – nie znając jeszcze historii Idki – odstrzelił jej warchlaka, Bruno nie odzywał się do mnie przez najbliższe pół roku. Również na polowaniach zbiorowych w łowisku Sędańsk my-



Krystyna Jonik w trakcie karmienia swojego pupila.



Filip w trakcie pieszczoł z kotem państwa Joników



Filip na tarasie domu swojej opiekunki obserwujący przez okno biesiadujących w saloniku gości. Fot. ze zbiorów rodziny Joników

śliwi musieli bardzo uważać, by czasami nie odstrzelić jakiegoś członka klanu Idki.

Na jednym takim polowaniu byłem naocznym świadkiem rzadkiego myśliwskiego zdarzenia. W trakcie pędzenia miałem stanowisko przy Brunie. Gdy nagle stała się już dobrze słyszalna, Bruno zaczął półgłosem wołać - Ida, Idka, Idka... I nagle jak spod ziemi koło dwójki stojących na skrzydle myśliwych pojawił się duży dzik i kilka mniejszych. Spacerkiem przeszły



Krystyna J. z Bambim i jednym ze swoich psów.

– może metr, może dwa od Bruna – i powoli oddaliły się w kierunku jeziora Sędańsk, w którego trzcinowiskach Ida najczęściej wybierała ostoję. Gdy wracałem z Brunem na zbiorke ten jeszcze do mnie powiedział – a spróbuj jeszcze od Idy któregoś strzelić, to będziesz miał ze mną do czynienia.

Podobny stosunek do kolejnych podopiecznych Joników prezentowały również ich psy, których w tym gospodarstwie było niekiedy nawet kilka. Dziwne, ale czasami leśni podopieczni Joników sami zaczęli zachowywać się jak psy, broniąc przed intruzami własnego podwórka. Typowym tego przykładem był między innymi Filip. Do domowników i niektórych ich gości – podobnie jak do wszystkich innych zwierząt będących w gospodarstwie – był jednak nastawiony bardzo przyjaźnie.

Niestety, Filipowi nie dane było zaznać rozkoszy dorosłego życia w sędańskich lasach. Gdy jeleń miał około roku został z dnia na dzień odebrany dotychczasowemu opiekunom i przewieziony na teren Wolińskiego Parku Narodowego. Jego dotychczasowi opiekunowie, zaganiani wśród codziennych obowiązków w gospodarstwie, nie zdążyli na czas zalegalizować pobytu młodego jelenia. w gospodarstwie Zresztą, początkowo nie do końca nawet zdawali sobie sprawę z ogromu przepisów regulujących sprawę legalnego pobytu takiego dzikiego stworzenia na terenie ich gospodarstwa. Żaden z ich podopiecznych nie był dotychczas siłą przetrzymywany w gospodarstwie. Tak sarny (Bambi, Falina, Malina) jak i dziki (Ida i Popek) oraz Filip, nigdy nie były trzymane w zamknięciu. Chodziły swobodnie po terenie całego gospodarstwa, do woli też korzystały z możliwości pobytu w pobliskim lesie. Ich opiekunowie wychodzili bowiem z założenia, że nigdy nie powinno się siłą zatrzymywać tych zwierząt w gospodarstwie. Po osiągnięciu osobniczej samodzielności zwierzęta te same wybierały miejsce pobytu. Fakt odebrania państwu Jonikom jelenka i wywiezienie go przeszło 500 kilometrów od dotychczasowych opiekunów, uzmysłowił im jednak przy okazji całą złożoność formalnej legalizacji opieki nad dzikimi zwierzętami – w tym i nad Filipem. Fakt nagłego z nim rozstania najmocniej w rodzinie przeżyła pani Krystyna. Tak długo suszyła mężowi głowę, aż dwa miesiące później wraz z córką postanowili Filipa odwiedzić w jego nowym miejscu pobytu. To co tam zobaczyli przeszło ich najgorsze wyobrażenia. W ostatnim piśmie do nadleśnictwa swoje odczucia z tej wizyty pani Krystyna opisuje tak: „(...) stanu łani nie będziemy długo komentować, jednak nie jest to okaz zdrowia i bardzo byśmy nie chcieli aby jakiegokolwiek zwierzę czy to domowe, czy dzikie, było doprowadzone do takiego stanu. Jeleń Filip (po dwóch miesiącach) stracił

masę mięśniową, sierść straciła blask, był odwodniony (na terenie wybiegu nie zauważyliśmy dostępu do wody pitnej, była tam jedynie błotnista kałuża, z której żadne zwierzę nie napiłoby się wody)”. Jeszcze drastyczniej wrażenia z wyjazdu na Wolin określił Reinhold: „Pojechaliśmy z nadzieją, że ma tam lepiej niż u nas, ale wyglądał strasznie. Wszystkie gnaty było mu widać”.

Takie wrażenia z wycieczki na Wolin mogły skutkować w rodzinie Joników tylko jedną decyzją – decyzją o zorganizowaniu Ośrodka Rehabilitacji Dzikich Zwierząt na części ich gospodarstwa. Tym bardziej, że gdy Filip był odbierany spod opieki państwa Joników, mieli oni słowne zapewnienie Nadleśnictwa Korpele, że o ile spełnią warunki Ośrodka Rehabilitacji Dzikich Zwierząt, to nadleśnictwo wesprze ich w staraniach o zwrot Filipa do nowo powstałego takiego ośrodka w Sędańsku. Państwo Krystyna i Reinhold Jonikowie rozpoczynają więc pierwsze działania z długiej listy wymaganych prawem czynności w zakresie organizacji ośrodka. Trzynastego czerwca 2019 r. uzyskali zgodę miejscowego lekarza weterynarii na świadczenie przez niego opieki weterynaryjnej w planowanym ośrodku rehabilitacji. Dwudziestego ósmego sierpnia tegoż roku Rada Gminy Szczytno pozytywnie zaopiniowała wniosek Reinholda Jonika dotyczący utworzenia i prowadzenia Ośrodka Rehabilitacji Dzikich Zwierząt w Sędańsku. Wcześniej Jonikowie musieli jeszcze uzyskać poparcie mieszkańców swojej miejscowości do pomysłu utworzenia takiej placówki. Ostatecznie udało się im uzyskać poparcie projektu przez dwudziestu ośmiu spośród 42 mieszkańców wsi. Pozostawała jeszcze sprawa stworzenia odpowiedniej infrastruktury. Na wydzielonych z gospodarstwa działkach rodzina własnymi siłami przygotowała profesjonalne ogrodzenie, mogące zatrzymać w nim przedstawicieli dużej zwierzyny płowej, ich potencjalnych podopiecznych..

Teraz przyszło już tylko czekać na decyzję Generalnego Dyrektora Ochrony Środowiska. Decyzja, pozytywna w treści, została wydana w dniu 30 grudnia 2019 roku. Szybko okazało się jednak, że to nie koniec kłopotów związanych z powrotem Filipa do Sędańska. W styczniu 2020 r. pani Krystyna napisała do Dyrekcji Wolińskiego Parku Narodowego prośbę o wydanie Filipka informując, że obecnie ma już formalne podstawy do przetrzymywania dzikich zwierząt w swoim ośrodku ale dosyć szybko otrzymana informacja zwrotna mocno ją rozczarowała. Odpowiedź, aczkolwiek utrzymana w bardzo grzecznym i komplementacyjnym tonie, właściwie sprowadzała się do następującej konkluzji: „jeleń przekazany w kwietniu 2019 roku przez Nadleśnictwo Korpele do Zagrody Pokazowej Zubrów Wolińskiego Parku Narodowego zlokalizowanej w lesie przy Międzyzdrojach jest zdrowy i nie potrzebuje opieki oferowanej w Ośrodku Rehabilitacji Dzikich Zwierząt”. Pani Krystyna nie poddaje się jednak. Napisała kolejne pismo do instytucji, która zabrała Filipa z jej podwórka – do nadleśnictwa. Tym razem swoje pismo zakończyła zobowiązaniem: „Ponieważ Woliński Park Narodowy nie sprawdza się jako opiekun jelenia, zwracam się z uprzejmą prośbą do Nadleśnictwa Korpele o wydanie nam pod opiekę jelenia Filipa. Chcemy zaznaczyć, że pokryjemy wszystkie koszty transportu jelenia z Wolińskiego Parku Narodowego do Ośrodka Rehabilitacji Dzikich Zwierząt w Sędańsku, jak również koszty żywotnego utrzymania Filipa”.

Materiały do artykułu zbierałem w listopadzie. Gdy między innymi zapytałem wówczas Reinholda i Krystynę o ich oczekiwania na najbliższe święta, zgodnie oboje odpowiedzieli – żeby Filip wrócił do Sędańska. Życzę im tego z całego serca.

Z wielkim smutkiem i żalem informujemy, że 29 listopada 2020 r. odszedł z naszego grona



śp. Klemens Moeck

zaczny Kolega i członek naszego koła od 1992 r. Był rolnikiem gospodarującym we wzorowo prowadzonym rodzinnym gospodarstwie, leżącym w środku jednego z naszych obwodów łowieckich. Był osobą niezwykle skromną i uczynną. Posiadając bogaty park maszynowy nieodpłatnie pomagał w uprawie prawie 7 ha pól łowieckich oraz z własnych zasobów wykładał karmę zwierzynie. Mieszkając w łowisku, praktycznie codziennie prowadził monitoring w zakresie szkód łowieckich, liczebności zwierzyny oraz kłusownictwa. Jego zaangażowanie we wszelkie prace związane z gospodarką łowiecką daleko przekraczało statutowe obowiązki członka PZŁ. Za pracę był odznaczony odznaką „Zasłużonemu dla Łowiectwa Warmii i Mazur”.

Drogi Klemensie, zapamiętamy Ciebie jako osobę niezwykle pogodną, życzliwą. Po prostu, byłeś wspaniałym naszym kolegą. Kolegą i takim pozostaniesz w naszej pamięci, a knieja warmińska niechaj wiecznie szumi nad Twoją mogiłą. Spoczywaj w pokoju, a św. Hubert niech przyjmie Ciebie do swego niebiańskiego orszaku.

**Zarząd i członkowie
Akademickiego Koła Łowieckiego „Darz Bór”
w Olsztynie**

Z głębokim żalem i smutkiem zawiadamiamy, że w ostatnim czasie z grona myśliwych Koła Łowieckiego „ŻUBR” w Olsztynie odszedł do Krainy Wiecznych Łowów

śp. Tadeusz Gil śp. Jerzy Jasiński śp. Stanisław Sekściński

Niech pamięć o Nich pozostanie wśród nas, a knieja, którą tak umiłowali wiecznie szumi nad Ich mogiłami.

**Zarząd Kł „ŻUBR”
w Olsztynie**

**Koledze Adamowi Krzyśkowowi
wyraży najgłębszego współczucia po
śmierci MAMY
składają
Przyjaciele
z Koła Łowieckiego „Rogacz”
w Świątyni**



Z głębokim żalem informujemy, że do krainy wiecznych łowów odszedł nasz niezapomniany Kolega

Jerzy Czepułkowski

wieloletni członek Kł „Orla Jucha i Kł „Partyzant” w Elku, członek Naczelnej Rady Łowieckiej w latach 2000-2005, współautor Statutu PZŁ, poseł na Sejm RP, współautor zapisów Ustawy o ochronie zwierząt, znany samorządowiec i przede wszystkim wspaniały kolega myśliwy.

Rodzinie składamy najszczerze kondolencje.

(...) Ty cierpliwie rozlicz całe życie moje. Ja poczekam na werdykt; wiem, że sprawiedliwy. Czekam-widzę kątem oka przyjaciół myśliwych. (...) Tak Cię chciałbym prosić o jedno mój Panie, zorganizuj raz w Niebie polowanie (...)

**Zarząd Okręgowy PZŁ w Suwałkach
oraz koledzy z Kł „Orla Jucha” w Elku**



POLOWANIE NA KUROPATWY W OBIEKTYWIE SANDRY MAKARUK

